

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 6 Rsb. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.



Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok V. Kraków, 17 października 1908. Nr. 42.

Prowokacya Serbii.

Treść na str. 2.

1. Przedmieście Belgradu. 2. Wieśniaczki serbskie. 3. Życie uliczne w Belgradzie. 4. Koszary załogi tureckiej w Sandżaku. 5. Piechota turecka. 6. Wieśniak serbski w Sandżaku. 7. Patrol serbska na ulicach Belgradu. 8. Na granicy serbsko-tureckiej.



Generał Fiedler — Szef sztabu generalnego, zbrojmistrz Hoetzendorf. — Minister wojny Schönach. — Generał Albori.

Prowokacya Serbii.

(Do illustracyi tytułowej).

Cały naród serbski, zawiedziony przez aneksyę Bośni i Hercogowiny w swych najświętszych marzeniach, prze z jednomyślnością godną lepszej sprawy do wojny z potężną monarchią austryacko-węgierską. Wynik ewentualnej wojny z góry jest do przewidzenia, lecz Serbowie liczą, zdaje się, na interwencyę mocarstw europejskich i sądzą, że nawet w razie przegranej nic nie stracą.

W Belgradzie, stolicy Serbii, od dnia ogłoszenia aneksyi, odbywają się codziennie burzliwe demonstracye przeciw Austryi, w których dynastya panująca, nie licząc się z kurtoazyą międzynarodową, czynny bierze udział. Onegdaj na placu przed konakiem królewskim wzburzony tłum spalił czarno-żółtą chorągiew austryacką, a następca tronu, książę Jerzy, znany z tego, że bije swoich adjutantów szpicrutą po twarzy, z balkonu pałacu wygłosił do tłumów namiętną mowę, w której zapewniał manifestantów, że już w najbliższych dniach pociągnie na czele armii na znienawidzonego wroga: do boju na śmierć i życie! Zaiste! Trudno pojąć, jak szanująca się dynastya może tak dalece angażować się w manifestacyach ulicznych! Dotychczas, o ile historya uczy, nie było podobnego przykładu w dziejach żadnego cywilizowanego narodu. Coś podobnego mogło się więc tylko w Serbii wydarzyć — w kraju królobójców.



Proces czerniechowski: Grupa oskarżonych przed kratkami sądu obwodowego w Tarnopolu.

Wobec takiej sytuacyi nie od rzeczy bedzie uznajomić czytelników z terenem przyszłej wojny.

Królestwo serbskie, mniejsze pod względem obszaru od Galicyi, z ludnością zaledwie 3 milionową, odgraniczone jest od Bośni rzeką Driną, zaś od Węgier, rzekami Sawą i Dunajem. Tylko na bardzo małej przestrzeni granica jest suchą, okoliczność, w razie wojny ogromnie niekorzystna dla państwa zaczepiającego, w tym wypadku dla Serbii, która może tylko prowadzić wojnę na terytoryum bośniackiem, wywołując powstanie wśród swych pobratymców plemiennych.

Regularna armia serbska, o sile sześciu dywizyj piechoty i nielicznej artyleryi, nie może się ani pod względem uzbrojenia, ani pod względem wykształcenia wojennego równać z doskonale wyćwiczoną i uzbrojoną armią austryacką. Austrya, ma dla obrony granicy mokrej wyśmienitą flotyllę dunajową, złożoną z sześciu monitorów i trzech łodzi patrolowych; z armii zaś lądowej zostałyby na wypadek wojny zmobilizowane następujące korpusy: XV w Serajewie (generał-zbrojmistrz Winzor), XIII w Zagrzebiu (generał-porucznik Gerba) i VII w Temeswarze (generał-zbrojmistrz Schwitzer).



Proces czerniechowski: Trybunał orzekający pod przewodnictwem wiceprezydenta Lorka podczas przesłuchiwania oskarżonych

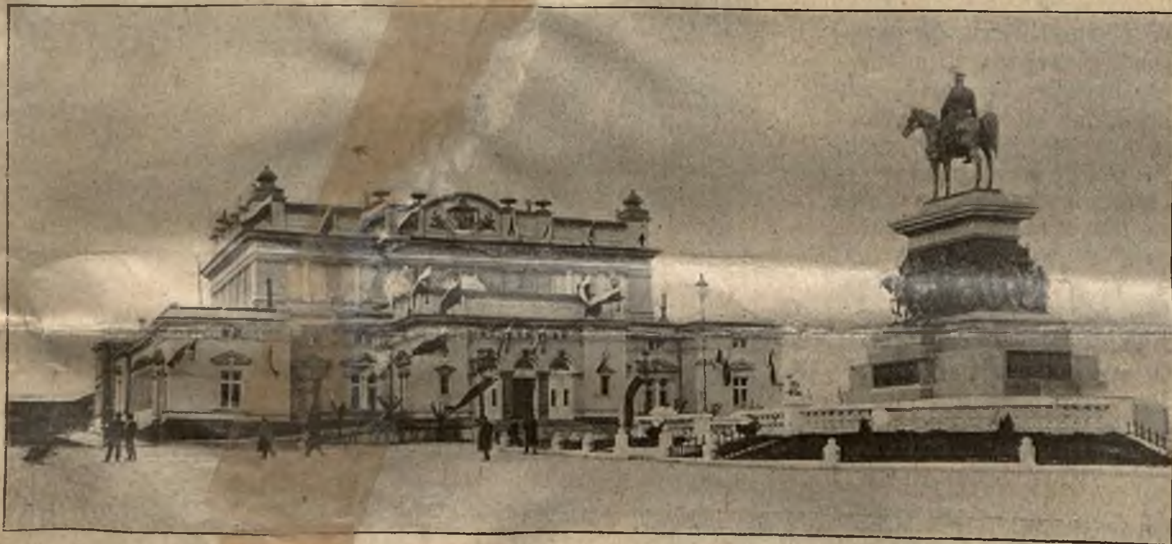
Korpus każdy na stopie wojennej liczy 80.000 ludzi, więc Austrya odrazu wyprowadziłaby na plac boju ćwierćmilionową armię. Zaznaczyć jeszcze należy, że prace przygotowawcze około mobilizacyi, poczynione pod światłem kierownictwem szefa sztabu jeneralnego, jenerała Conrada, tak dalece postąpiły naprzód, że w piątym dniu po ogłoszeniu rozkazu mobilizacyjnego, cała armia stoi gotową do boju. Jako komendanci przyszłej armi operacyjnej wchodzą w rachubę jenerałowie Albori i Fiedler.



W bałkańskiem piekle: Rezydencya cara Ferdynanda w Sofii.

Proces czerniechowski.

Głośną była w swoim czasie sprawa czerniechowska, gdzie kilka osób znalazło śmierć od kul żandarmskich. Sprawę tę poruszaliśmy już w naszem piśmie, podając Czytelnikom szereg illustracyi z miejsca katastrofy. Jak wiadomo, powodem zajścia było wprowadzenie podziału Seretu na rewiry rybackie, z których jeden, prowadzący właśnie przez Czerniechów w powiecie tarnopolskim, wydzierżawił od rządu tamtejszy właściciel i marszałek powiatu tarnopolskiego, hr. Juliusz Korytowski. Miejscowa ludność, wykonująca dotąd rybołowstwo na wspomnianej rzece i uważająca ją za swą własność, nie mogła się pogodzić z myślą, że ktoś ma zagarnąć, jak uważała, dobro gminne. Ulegając podszeptom niesumiennych agitatorów, których w powiecie tarnopolskim nie brak, nie myślano się stosować do przestróg wójta i żandarmeryi. Gdy w krytycznym czasie żandarmerya przyaresztowała nieuprawnionych rybołowców i odprowadziła ich do urzędu gminnego w Czerniechowie, powstało zbiegowisko, uderzono nawet na



W bałkańskiem piekle: Budynek sobrania w Sofii, udekorowany z okazyi proklamacyi niezawisłości. Przed sobraniem pomnik cara Aleksandra.

gwałt w dzwony cerkiewne. Miejscowa i okoliczna ludność, snać przygotowana już do tego, zebrała się gromadnie przed urzędem gminnym i zajęła postawę groźną. Oburzenie zwróciło się głównie przeciw leśniczemu Kirchnerowi, którego uważano za właściwego sprawcę zakazu rybołowstwa. Przez kilka godzin oblegano żandarmeryę i leśniczego w urzędzie gminnym, a gdy perswadowanie i wezwanie do rozejścia się nie pomogły, a nawet posypały się kamienie na żandarmów, komendant posterunku W[illegible]cki, po ponownem bezskutecznem up[illegible] zakomenderował „ognia“. Skutek był fatalny. Kilka osób padło trupem na miejscu, kilka odniosło rany.

Epilog tej sprawy rozegrał się w ubiegłym tygodniu przed trybunałem orzekającym w Tarnopolu. Wszystkich 38 oskarżonych uwolniono od zarzutu zbrodni gwałtu publicznego, zasądzono natomiast 15 za występek zbiegowiska na karę aresztu od 5 do 10 dni.

Oto owoc niesumiennej agitacyi!

Pięćdziesięciolecie gimnazyum.

Dość rzadki jubileusz obchodzono w ostatnią sobotę we Lwowie. Było nim pięćdziesięciolecie gimnazyum Franciszka Józefa, zakładu naukowego, w którym we Lwowie po raz pierwszy wprowadzono naukę w języku polskim. Z istniejących poprzednio dwu zakładów gimnazyalnych, jeden, zwany akademickim, był ruski, drugi, zwany dominikańskim, niemiecki.

Dopiero 1858 r, dzięki poparciu Agenora hr. Gołuchowskiego, otrzymał Lwów, pierwsze gimnazyum z językiem wykładowym polskim. Zakład ten stał się następnie niejako macierzą wszystkich później powstałych gimnazyów polskich we Lwowie, w miarę rozwoju bowiem tworzono dlań filie, a te kolejno przemieniały się w gimnazya samoistne.

Od lat trzydziestu mieści się gimnazyum Franciszka Józefa w znakomicie pod względem hygienicznym urządzonym budynku przy ul. Batorego. Budynek ten stanął kosztem gminy miasta, które zawarowało sobie na zawsze warunek, iż nauka w nim odbywać się będzie wyłącznie w języku polskim.

Gimnazyum Franciszka Józefa miało zawsze i ma po dziś dzień opinię wzorowego, a szereg ludzi, który w niem kończyli nauki i którzy dziś zajmują bardzo wybitne stanowiska w społeczeństwie, jest tego wymownym dowodem.

To też myśl uczczenia pięćdziesiątej rocznicy założenia tego gimnazyum, tej pierwszej polskiej szkoły średniej we Lwowie, spotkała się z ogólnem uznaniem i na wezwanie komitetu zgłosiło się kilkuset byłych uczniów zakładu, by w pamiątkowym obchodzie wziąć udział.

Uroczystość rozpoczęła się w kościele archikatedralnym, gdzie pontyfikalną mszę świętą odprawił ks. biskup Bandurski, b. uczeń zakładu. Po mszy wygłosił ks. biskup przepiękną egzortę, nawołując do wspólnej pracy nad odrodzeniem narodu. Dalszy ciąg uroczystości odbył się w wielkiej sali „Sokoła-Macierzy“, gdzie zebrali się członkowie komitetu obchodowego, byli i obecni uczniowie zakładu, wielu byłych nauczycieli, a nadto grono zaproszonych dostojników, między tymi ks. arcybiskup Teodorowicz, namiestnik dr. Bobrzyński, wiceprezydent rady szkolnej krajowej dr. Dembowski, prezydent Ciuchciński i wielu innych. Do zebranych wygłoszono szereg przemówień, a rozpoczął je imieniem komitetu radca dworu Seferowicz. Na zakończenie uroczystego dnia odbył się wieczorem bankiet.



W bałkańskiem piekle: Ogólny widok drugiej stolicy Bułgaryi, Tyrnowy, w której proklamowano niezawisłość.

Precz z karczmą!

Pod tem hasłem urządzono we Lwowie w ubiegłą niedzielę wielki publiczny wiec, celem poparcia wniesionych do Sejmu i Rady państwa petycyi w sprawie zamykania szynków i karczem od soboty wieczór do poniedziałku rano, oraz w dni świąteczne. Petycye te wniesione zostały przez towarzystwa wstrzemięźliwości od napojów spirytusowych; towarzystwa te rozwijają coraz szerszą i coraz piękniejszymi owocami uwieńczoną pracę w kierunku uświadamiania szerokich warstw ludności przed strasznymi skutkami pijaństwa.



Prowokacya Serbii: Aleksander, młodszy syn króla Piotra.

Jednym z ważnych kroków w działalności tych towarzystw był niedzielny wiec, który odbył się w jednem z zabudowań na boisku sokolem obok rogatki łyczakowskiej, a który zgromadził tłumy publiczności. Było jej tyle, iż sala wszystkich pomieścić nie zdołała i bardzo wielu słuchaczów pozostało na boisku, słuchając zdala wywodów referentów.

Przewodniczył radca miejski dr. Szczepan Mikołajski, przemawiali jako referenci pp. redaktor T. Czapczyński, prof. dr. K. Panek i J. Szymański z Krakowa, w dyskusyi zabierali głos posłowie Hudec, Witos, dr. Gabel, dalej p. Horowicz z Krakowa i kilku innych mowców. W rezultacie uchwalono szereg rezolucyi, zwracających się do rządu z żądaniem zwalczania nałogu pijaństwa, ograniczenia koncesyi szynkarskich, wczesnego zamykania lokalów szynkowych itd. Wielkie oburzenie wywołały wśród zebranych depesze od szynkarzy z całego niemal kraju, protestujące przeciw petycyom o zamykanie szynków.

Katastrofa budowlana w Krakowie.

W obecnych czasach gorączki budowlanej zdarza się nieraz, że buduje się domy, jak to mówią „na interes", nie zważając na nieodpowiedni teren, ani na jakość użytego materyału. Rzecz naturalna, że często się to udaje, ale czasem powinie się noga takiemu niesumiennemu przedsiębiorcy, a spekulacya jego staje się powodem katastrofy, jak to miało miejsce w Krakowie w dniu 10 października.

Przy ulicy Zyblikiewicza buduje niejaki Silberbach trzypiętrową kamienicę na gruncie wilgotnym. W części ma ta kamienica wspólną ścianę z sąsiednią, ale ponieważ ma ją przewyższyć, od trzeciego piętra dopiero poczęto budować działową ścianę, opartą na poprzecznej belce żelaznej i to bez wiedzy budownictwa miejskiego. Belka nie była należycie wpuszczoną w mur, nie mogła też wytrzymać ciężaru, jaki na nią nałożono. Prowadzący budowę architekt rzadko się na miejscu budowy pokazywał, murarze zwracali uwagę swym majstrom, że ściana się wypukla do wnętrza i grozi zawaleniem. Podobno zwracano na to uwagę nawet właściciela, ale ten uspokoił interpelantów, radząc, aby dalej murowali, a kamienica, jak ją tylko sprzeda, może się nawet zawalić. I tak się też stało, ale wcześniej niż p. Silberbach przypuszczał. Najsmutniejsze to, że ofiarą spekulacyi budowlanej padł jeden człowiek, który poniósł śmierć na miejscu, a siedmiu, z których dwu walczy ze śmiercią, odniosło dotkliwe rany. Budowę wstrzymano, ale kto wróci życie biednemu robotnikowi, ojcu kilkorga dzieci? Winę ponosi głównie sam właściciel nowo budującego się domu, częściowo zaś i architekt, kierujący budową.

Jak jest, kto winę ponosi, dotąd nie wiadomo: w śledztwie między budowniczym a podmajstrzymi zapanowała ogromna różnica zdań. Podmajstrzy twierdzą, że zawiadomili budowniczego o rysowaniu się ścian i odmówili przyjęcia odpowiedzialności za dalszy los budowy, budowniczy utrzymuje, że choć rysy były dla każdego widoczne, nie zwrócili mu na to uwagi. Tak samo ma się rzecz z materyałem. Podmajstrzy utrzymują, że materyał był do niczego, fachowcy podają, że był odpowiedni.

Illustracya nasza przedstawia miejsce katastrofy w godzinę po wypadku.



W bałkańskiem piekle: Ostatnie zdjęcie fotograficzne cara Ferdynanda, jeszcze jako księcia, z okazyi wizyty w Budapeszcie.



W bałkańskiem piekle: Zjazd dyplomatów w Desio. Minister Tittoni, minister Izwolski i ambasador Murawiew.



Prowokacya Serbii: Król Piotr Karageorgiewicz.

Tajemnice wielkiego świata.

POWIEŚĆ.

Napisał Czesław Radomski.

CZĘŚĆ DRUGA.

18

Dotąd wzbudzałeś we mnie litość i współczucie, przypuszczać zatem mogłam, że jedno i drugie złamią może kiedyś moc mego postanowienia i uczynią ci uległą... Obecnie zerwałeś wszystkie nici, jakie mnie z panem wiązały. Nic... nic więcej nas nie łączy z sobą. Niczem nie czuję się skrępowaną... Chcę mieć moją córkę i rozkazuję panu: zwróć mi ją natychmiast!

— Powiedziałem przed chwilą — odparł baron z większym jeszcze spokojem, panując nad sobą całą siłą woli niezłomnej — że córka twoja zwróconą ci będzie, gdy zostaniesz moją żoną. Nie myślę przekonywać pani rozumowaniem, bo wiem, że rozumować nie lubisz... ani błagać o to, co złożona przez ciebie przed ołtarzem przysięga, uczyniła moją wyłączną własnością. Na mocy prawa i za zgodą Kościoła należysz do mnie, więc ci rozkazuję. Widzisz, że się nie unoszę, że nie używam gwałtu... przypominam ci tylko obowiązek, który spełnić musisz. Pragnę rzeczy zupełnie słusznej. Chcę, żeby moja żona, była moją żoną... Przyznasz chyba, że chociaż żądanie moje wypowiadam stanowczo, wypowiadam je jednak z należnym ci szacunkiem i bez cienia grubiaństwa — tu uśmiechnął się ironicznie — właściwego takim, jak ja, parweniuszom.

— Boże, mój Boże!... — jęknęła Zofia zgnębiona.

I wnet dodała cichym szeptem, jakby mówiła tylko do siebie:

— Ojcze! czy ty tam widzisz, do jak strasznego poniżenia doprowadziło mnie posłuszeństwo twojej woli!

— Moja droga — podchwycił Korf tonem pozornie chłodnym, w którym jednak dźwięczała siła gorącej namiętności — nie wywołuj ducha ojca z grobu. On cię sprzedał i nigdy cię nie kochał, wiesz o tem sama najlepiej; gdy ja, za twoją miłość oddałbym wszystko, co mam, cały majątek, jaki dziś posiadam i ten, który zdobędę w przyszłości... Gdy o ciebie chodzi, wstrętnemi mi są wszystkie sprawy pieniężne. Między nami Zofio może być tylko mowa o nienawiści lub miłości...

— I o stosunkach towarzyskich w wielkim świecie, które przez małżeństwo ze mną pozyskać chciałeś..

— Tak, nie przeczę... w pierwszej chwili. Lecz teraz i o te stosunki nie dbam wcale... Teraz tylko ciebie posiąść pragnę. Pogardzasz mną, a ja cię ubóstwiam... dlatego więc powoli, ostrożnie i podstępnie zastawiałem sieci, żeby cię niemi opłątać, żebyś się z nich już nigdy wydobyć nie zdołała... Rzucaj mi w twarz, jakie chcesz obelgi, przygniataj mnie najcięższą, na jaką zdobyć się możesz pogardą, ja drwię sobie z obelg twoich i pogardy, bo jestem twoim panem i z pod mojej władzy wymknąć się już nie możesz... Odwołaj się jeśli chcesz do sądów; domagaj się sprawiedliwości; oskarż mnie o okrucieństwo... ja stanę spokojnie przed wyrokującym trybunałem i powiem: „Panowie, odebrałem mojej żonie dziecko, bo postępowaniem swem obrażała ciągle godność mężowską, nie spełniając względem mnie swoich obowiązków..."

— Lecz sędziowie dowiedzą się prawdy... muszą się dowiedzieć... a wtedy ulitują się nademną. Matki z dzieckiem rozłączać nie wolno!... A zresztą powiem im... powiem im, że nie masz żadnych praw do mojej córki...

— Czy tak? — zapytał baron, wykrzywiając usta sarkastycznym uśmiechem. — Czy tak? — powtórzył. — Nie zawahasz się wywołać skandalu, okrywającego cię niesławą? Czy myślisz, że później, za jakie lat dwadzieścia, córka twoja będzie ci za to wdzięczną? Piękny posag jej dać pragniesz... stygmat hańby na czole, jakim dotąd jeszcze nędzna opinia publiczna piętnuje dzieci nieprawe. O! wiem dobrze, że tego nie uczynisz!... Wprawdzie wywołasz może inną hańbę... hańbę kłótni publicznej przed sądem, w której matka i ojciec przez usta adwokatów obrzucać się będą wzajemnie obelgami... a może nawet oszczerstwami...

— Zabraniam panu zwać się ojcem Janinki! Dowiodę...

— Co?... Czego dowiedziesz? Mąż w wytoczonym żonie procesie ma prawo dowodzić i dowieść, że nie jest ojcem jej dzieci, lecz żona pod żadnym pozorem uczynić tego nie może...

Wybuchnął znowu gwałtownym śmiechem nerwowym:

— Nic podobnego mi przytrafiło się nigdy i nigdzie! Nie, nie! nie zdołasz przeszkodzić uznaniu mnie za ojca Janinki! Przyznaję się do ojcostwa, więc prawnie będę, bo muszę być uznany. Tak, tak, chciej wierzyć, że mówię prawdę... Gdybyś nawet, odmawiając spełnienia obowiązku, posunęła się do opuszczenia mego domu i wytoczenia procesu... to ja, rozumiesz, ja pozostałbym stróżem i panem twojej córki, bo mnie przysądzonoby nad nią opiekę... a wtedy, według chwilowego upodobania i kaprysu, nauczyłbym ją kochać ciebie, albo nienawidzić cię całą duszą. Zastanów się nad tem wszystkiem Zofio i powiedz, czy uważasz mnie dalej za człowieka i męża, zasługującego na lekceważenie i wzgardę? czy sądzisz, że wolno ci opierać się dłużej mojej miłości?

Zofia blada, zrozpaczona, złamana moralnie i fizycznie, przymknęła powieki, upadając na stojące za nią krzesło. On ukląkł u jej stóp i ramionami opasał kibić drżącą... Po chwili, ośmielony niemal martwą bezwładnością Zofii, pochwycił w obie dłonie głowę ukochanej i zbliżał ją powoli do ust swoich płomiennych... Ona, zupełnie pokonana i zdrętwiała, myśląca jednak ciągle w swem duchowem i materyalnem omdleniu o córce — i pod wpływem miłości macierzyńskiej, zgadzając się już poniekąd na nowe poświęcenie, zdawała się pozwalać mu na wszystko... Lecz w chwili właśnie, gdy kraśne wargi Korfa dotknąć miały jej warg zbielałych, nagle i bezwiednie rozwarła powieki, a w pięknych jej oczach odźwierciedlił się tak straszny wstręt i tak okropne przerażenie, że baron, przejęty również niespodzianie jakąś niezrozumiałą trwogą, zerwał się z klęczek na równe nogi.

Chwilkę stał i wpatrywał się w Zofię całą siłą wytężonego wzroku... Uczuł, że serce ściska mu się bólem dotkliwym... Wzruszony do głębi i upokorzony wybiegł z pokoju, trzaskając za sobą drzwiami.

Pędził przed siebie na oślep, jak szalony. Drapał się w górę po stromych drożynach, któremi chodzą tylko zbłąkane muły, nie mogące trafić do swojej zagrody; zagłębiał się w labirynt ścieżek, wijących się między skałami, szukając instynktownie cichego i ciemnego zakątka, w którymby mógł czuć się sam, niewidziany przez nikogo, i dopiero w pustynnej głuszy dać folgę swojej wściekłości, boleści i rozpaczy.

Zmęczony wreszcie długiem krążeniem, legł na płaskim odłamie skalnego granitu i ukrywszy twarz w dłonie zawył głośnym jękiem, rozdzierającym mu piersi — podobnym do żałosnej skargi ranionego dzikiego zwierza.

Zofia tymczasem, pogrążona w chmurnem dumaniu — tak ścierpnięta, że zdawała się zupełnie bezwładna — roniąc cicho łzy nad opuszczoną kołyską Janinki, szeptała do siebie przez kurczowo zaciśnięte zęby:

— Muszę... muszę uledz! To dla ciebie najdroższa moja dziecino... dla ciebie, która stworzysz dla mnie nowe życie...

Przykre, udręczające myśli przelatywały przez jej mózg jak błyskawica. Na co okazała mu wstręt i obawę? Poddać się była powinna... chłodna jak posąg marmurowy... lecz poddać się koniecznie. Co znaczy ofiara własnej osoby wobec pewności, że odzyszcze córkę?! Dawniej... tak, dawniej, wolno jej było marzyć o samobójstwie... mogła pozbawić się życia, gdy ją posiąść pragnął... lecz dawniej nie była matką. Dziś w sercu jej gościć nie powinno żadne inne uczucie prócz miłości macierzyńskiej. Wyrzucała sobie bezwiedny, prawie odruchowy bunt ciała, który nią wstrząsnął i oddalił moment, w którym ma znowu ujrzeć Janinkę. Ach! gdyby choć przez sekundę umiała zdobyć się na rezygnację, jużby teraz wiedziała, gdzie ukryto jej dziecko, a miła pieszczota drobnych rączek, poruszających się wprawdzie dotąd nieświadomie i bezmyślnie, lecz zarazem dziwnie rozkosznie, starłaby z jej ust przykre wrażenie namiętnego pocałunku męża...

Ach! pocałunki tego człowieka!

Zastanawiając się coraz głębiej i dłużej nad obecnem swem położeniem, pojmowała, że zgodzić się na nie musi, lecz przekonanie wewnętrzne, że pocałunki poprzedzą ostateczny, brutalny, zwierzęcy uścisk, ziębiło jej ciało i wstrząsało je bolesnym dreszczem. Na myśl o takim uścisku, nie mającym nic wspólnego z miłością — o której słodkie wspomnienie przechowywała na dnie udręczonego serca — wzdrygała się instynktownie, przejęta nie dającym się wyrazić wstrętem.

Naraz drzwi się rozwarły i ukazała się w nich pokojówka, trzymająca srebrną tacę w ręku.

— Parobek z poczty — rzekła — przyniósł list dla pani baronowej.

Zofia wzięła podany jej list machinalnie, nie patrząc nań wcale.

Całą siłą woli starała się zapanować nad sobą, żeby nie zdradzić miotającego nią wzruszenia, okazać się spokojną i ukryć przed sługą tajemnicę swego zatargu z baronem. Wiedziała dobrze, jak domownicy łatwo odgadują wszelkie nieporozumienia rodzinne swoich chlebodawców, tym zaś razem odgadnięcie wyrządziłoby straszną krzywdę Janince, bo gdyby to, co zaszło między nią a mężem, rozniosło się po wsi, a ze wsi dalej, aż do Paryża lub Warszawy, córka jej przedewszystkiem ucierpiałaby na tem.

Lecz pokojówka wyszła, nie dostrzegłszy niepokoju swojej pani, a Zofia, wyczerpana wysiłkiem nadzwyczajnym, oparła głowę o poręcz krzesła i tłumiła w gardle dławiące ją łkanie. Po chwili smutny uśmiech wykrzywił jej blade wargi.

— Dramat nie skończył się jeszcze — szepnęła do siebie po cichu — a już trzeba grać komedyę... I to się nazywa życie, życie kobiet, należących do tak zwanego wielkiego świata!

Nagle spojrzała na list, który wciąż jeszcze trzymała w ręku.

— Boże! — krzyknęła — od Zygmunta!

XII.

List i jego skutki.

Adres był istotnie pisany jego ręką, a list oddany na pocztę w Paryżu przed paru zaledwie dniami. Wskazywały to: marki francuskie, naklejone na kopercie i stampila jednego z paryskich biur pocztowych z datą na nich wyciśniętą.

Zofia powstała szybko z krzesła i nie rozrywając koperty schowała pismo za gorsem. Trzęsła się cała, myśląc, że podpatruje ją może mąż, ukryty w jednym z ciemnych kątów pokoju.

— Zygmunt pisze do mnie!... Zygmunt pisze do mnie! — powtarzała cicho drżącemi wciąż wargami.

Wybiegła na balkon.

Ostrożnie wyciągnęła z za gorsu list, rozgrzany na piersi — i przyglądała mu się równocześnie z radością i przerażeniem, malującem się w jej wzroku.

— Wyrzuca mi prawdopodobnie mój nikczemny postępek — szeptała. Oszukałam go... zdradziłam bezwiednie i mimowoli... Ach! gdybym nie była pewną, że umarł... gdybym w śmierć jego nie uwierzyła... nigdy... nigdy nie zgodziłabym się zostać żoną tego człowieka... mego kata!

Nerwowym ruchem rąk obu rozdarła nareszcie kopertę i oczami, pełnemi łez, wpatrywała się w wyrazy, kreślone przez ukochanego z widocznym pośpiechem.

Pisał on:

„Zofio!

„Sądziłem, że zdołam opuścić kraj rodzinny, a następnie Europę, nie wywołując wspomnień o tem, co nas łączyło niegdyś w minionej niepowrotnie przeszłości, lecz w ostatniej chwili uczułem, że muszę cię pożegnać, że tak ważnego momentu w życiu mojem i twojem nie wolno mi zbyć obojętnem milczeniem. Więc wziąłem pióro do ręki, bo pragnę przedewszystkiem przesłać ci szczere przebaczenie, płynące z głębi oddanego ci serca. Przypuszczam, że kiedy niekiedy dręczyć się musisz myślą, że mnie opuściłaś, zdradziłaś i rzuciłaś na pastwę bezgranicznej rozpaczy. Otóż dlatego piszę głównie, chcę bowiem, abyś zbyła się wszelkich wyrzutów sumienia i jeśli z tego względu odczuwasz jaki smutek, żebyś smucić się przestała.

„Nie żądam od ciebie zwierzeń z tego, co działo się w duszy twojej po dramacie, który w twej obecności rozegrał się w Sielance. Wszystko zrozumiałem, wszystko odgadłem. Powiedziano ci, że umarłem z ran odniesionych w pojedynku; niejasne sprawozdania dzienników warszawskich utwierdziły cię w tem mniemaniu; sądziłaś, że pozostałaś wdową. Przez poświęcenie dla rodziny zgodziłaś się na ofiarę. Wobec głębokiego przekonania, że tak, jak tu piszę, musi być istotnie, myślę, że względem ciebie zawiniłem bardzo, błagam cię więc o przebaczenie za czyn szalony, który popełniłem w dzień twojego ślubu. Popchnęła mnie do niego rozpacz, pozbawiająca zastanowienia i władzy nad sobą... Małżeństwo twoje z baronem Korfem było dla mnie zbyt dotkliwym i zbyt niespodziewanym ciosem, abym wiadomość o nim mógł znieść wówczas z takim spokojem, z jakim obecnie znoszę pewność, że

już nie jesteś i nie możesz być moją. Chciałbym w jakibądźkolwiek sposób sprawdzić, że mój bezrozumny postępek nie zamącił ani na chwilę szczęścia twojego pożycia z mężem. Przysięgam, że nie zamącę go nigdy więcej.

„Wypadki, z którymi walka była w rzeczy samej dla ciebie niemożliwą, sprawiły, że zostałaś żoną innego. Przeznaczenie okrutne rozdzieliło nas raz na zawsze, lecz chciej wierzyć, że jak długo żyć będę, nie przestanę czcić cię i ubóstwiać, nie starając się jednak wcale zbliżyć się do ciebie. Ten list jest jedynym ostatnim aktem wzajemnego porozumienia naszego. Na chwilę przynajmniej wyobrażam sobie, że jesteś dawną Zofią i że posiadam jeszcze twoją miłość... O! nie wątpię, że jesteś mi jeszcze życzliwą i pozostaniesz nią zawsze w głębi duszy. Wszak prawda, że serca nasze związane są nierozerwalnym łańcuchem wiecznego przywiązania? Wszak prawda, że podobni jesteśmy do owych dwojga, opiewanych przez wielkiego poetę? Śmierć ich rozdzieliła, lecz oni wierzyli, że muszą spotkać się w drugiem życiu, czekającem na nas za tym padołem płaczu, więc Bóg połączył ich duchy w niebie. Na ziemi nie zejdziemy się już prawdopodobnie nigdy. Ja przynajmniej unikać cię będę, a nawet uciekać od ciebie. Dlatego też bez żalu opuściłem kraj rodzinny i dlatego wkrótce opuszczę Europę. Wrócę zaś dopiero wtedy, gdy ojczyzna potrzebować będzie jednego więcej uzbrojonego ramienia, albo współudziału mego w mozolnej pracy dla jej dobra. Dziś wiem, że ofiarą własnej osoby nie mogę stać się użytecznym, więc jadę daleko, aby tam czekać na moment szczęśliwy, gdy najświętszy obowiązek powoła mnie do powrotu. W cierpieniu i tęsknocie wzmacniać będę siły ducha i ciała — i myśleć wciąż o tobie.

„Przed kilku tygodniami przeszedłem raz jeszcze gorączkowy paroksyzm straszliwej zazdrości, gdy przeczytałem w gazetach, że powiłaś córkę. Lecz, gdy zapanowałem nad sobą i zastanowiłem się głębiej nad tym szczęśliwym dla stanu twojej duszy faktem, uczułem się przejętym dla ciebie jeszcze większą czcią i uwielbieniem. Zdaje mi się, że mógłbym teraz na kolanach modlić się do ciebie, jak do świętej. Jesteś matką nie przez miłość, lecz przez poświęcenie. Uczyniła cię nią nie rozkosz zmysłowa, lecz poddanie się męczeńskiej konieczności. Obecnie dopiero uczujesz się połączoną z nieszczęśliwem, na męczarnie nieustanne skazanem społeczeństwem naszem, którego nie znasz, a dla którego wychowywać należy nowe pokolenia, mniej może romantyczne od dzisiejszego, zato szczerzej i rozumniej pojmujące obowiązki, jakim sprostać mu przyjdzie w niedalekiej już może przyszłości. Przyznaj, że wielki świat warszawski i sfera towarzyska, do której należałem niegdyś, a do której ty jeszcze ciągle należysz, nie umiała dotąd stanąć na stanowisku, jakie powinna była zająć w narodzie, aby przodować mu przykładem i pracować nad rozwojem jego sił duchowych i materyalnych. Nieliczne tylko jednostki wśród arystokracyi polskiej umiały naginać się do zaszczytnej, lecz i trudnej roli, która — z winy przodków i losów złośliwych — stała się naszym udziałem. Otóż nie wątpię, że gdy teraz powrócisz z mężem do kraju, w imię miłości dla waszego dziecięcia, wpłyniesz na barona Korfa, że wstąpi w szeregi owego nielicznego grona i odda na usługi dobrej sprawy swoją niepospolitą inteligencyę, oraz swój olbrzymi majątek. Całem sercem wierzę, że to uczynisz niezawodnie.

„Piszę mój list z bezwzględną szczerością, nie krępując się wcale konwenansami, sądzę bowiem, że mąż twój, jak wszyscy, którzy cię dobrze znają, czcić cię musi i pokładać w tobie ufność bez granic, więc pismo moje odczytane będzie tylko przez ciebie. Gdy je otrzymasz, prawdopodobnie znajdować się już będę na pokładzie statku parowego, noszącego nazwę **Atalanta**. Uniesie mnie on do Afryki. Nie zatrzymam się długo w Algierze, zaraz bowiem po przybyciu wyruszę wraz z francuską wyprawą naukową w głąb czarnego lądu na rok, dwa, a może i dłużej. Gdy okręt opuszczać będzie port Marsylii, a załoga i podróżni zwrócą się z gorącą modlitwą do posągu *Notre Dame de la Garde*, dominującego nad wybrzeżem, ja wyobraźnią odtworzę sobie rysy twojej twarzyczki i wpatrzony w czarującą wizyę, błagać cię będę o interwencyę do Matki Boskiej Częstochowskiej, aby czuwała nademną i otaczała mnie swoją opieką. Ty musisz mieć u Niej łaski, dla ciebie więc uczyni wszystko, o co tylko prosić ją będziesz.

„Bądź zdrowa Zofio. Tobie nie wolno mnie kochać, lecz ja do ostatniego tchnienia kochać cię nie przestanę. Żegnam na zawsze. Raz jeszcze — bądź zdrowa.

Zygmunt“.

List ten, pełen głębokiego, tajonego smutku, ale zarazem i rezygnacyi bezwzględnej, wywarł na Zofii dziwne wrażenie, wprost przeciwne temu, jakie piszący wywołać zamierzał. Zamiast ją uspokoić, rozpętał w jej sercu szaloną burzę. Poddanie się wyrokom losu i przygnębienie, łamiące przed chwilą całą jej istotę, znikły nagle. Uczuła się owładnięta jakąś wielką radością, niweczącą w jej umyśle wszystkie pojęcia o obowiązkach żony i matki, jakie wyznawała jeszcze przed chwilą. Upojona rozkoszą, z której sobie sprawy nie zdawała, powtarzała niemal bezmyślnie:



W pakiecie, składającym się z kilku paryskich i warszawskich gazet, znalazła »le Petit Marsellais«

— Zygmunt blizko mnie... Boże mój! tak blizko... tak blizko!

Zajmowała ją tylko myśl, że ukochany jest niedaleko. Świekra i mąż istnieć dla niej przestali; zapomniała nawet o córce. Uwaga jej skoncentrowała się (jeśli koncentracyą nazwać się godzi zupełną nieprzytomność) na chaotycznej grupie planów, rojących się w jej mózgu i zmieniających ciągle, jak obrazy w kalejdoskopie, a nie posiadających ściśle określonych celów i zarysów. Duch jej rwał się do lotu — do czynu i przedsięwzięcia — nie wiedziała jednak, w jakim kierunku poleci. Dopiero po pewnym przeciągu czasu wirujące, różnorodne, niesharmonizowane pragnienia, zatrzymały się na jednym punkcie.

— Gdybym była nieco zuchwalszą... gdybym zdobyła się na śmiałe postanowienie... mogłabym się z nim spotkać. Przecież wobec Boga do niego tylko należę! Chcę go widzieć... Tak, tak, muszę go widzieć koniecznie.

Nie zastanawiała się dłużej, tonąc duszą całą w zamiarze, którego jednak jeszcze nie sformułowała ani jasno, ani stanowczo.

Jak automat, poruszany niewidzialną sprężyną, zbiegła do suteren, żeby upomnieć się o dzienniki, przyniesione prawdopodobnie z poczty równocześnie z listem.

W pakiecie, składającym się z kilku paryskich i paru warszawskich gazet, znalazła *le Petit Marseillais* — a o niego chodziło jej właśnie. Rozerwała opaskę i zaczęła przeglądać zawiadomienia, pomieszczone w rubryce, poświęconej żegludze na morzu Śródziemnem. Reporterzy zaznaczali w niej zwykle godziny przybycia i odjazdu przypływających do Marsylii i wypływających z jej portu statków parowych. Od razu rzuciła się jej w oczy nazwa **Atalanta**, wydrukowana większemi, tłustemi czcionkami. Wiadomość brzmiała krótko i zwięźle:

„Jutro o wpół do pierwszej **Atalanta** opuszcza nasz port, udając się do Algieru“.

Jutro! jutro!

A więc ma jeszcze cały dzień przed sobą, jeśli się jej uda wymknąć niepostrzeżenie z domu przed powrotem męża. Lecz on może gonić za nią... więc należy w błąd go wprowadzić i przynajmniej opóźnić zbyt rychły pościg.

— Idę do pani Rutkowskiej — rzekła zgorączkowana do pokojówki. — Jeśli pan powróci, trzeba mu powiedzieć, że proszę, aby na mnie chwilkę zaczekał...

Wybiegła, jak szalona.

Zamiar, wylęgły w jej głowie przybierał już wyraźniejsze zarysy. Przypuszczała, że w oberży, którą Castillon szczyci się nie bez racyi, znajdzie łatwo powóz i konie do najęcia. Lecz niestety na dwa konie, posiadane przez karczmarza, jednego zabrał przed godziną jakiś turysta do Mentony, drugi zaś w odległości kilku kilometrów od wioski zwozi właśnie teraz worki z oliwkami do młyna, w którym wyciska się oliwa.

— Ale, proszę pani baronowej — zawołał uprzejmy oberżysta — mogę pobiedz po niego i przyprowadzić go tu jak najspieszniej. W mig zaprzęgnę do kabryoletu, a za małe półtory godziny będzie już pani baronowa w drodze.

Półtory godziny! Mąż niezawodnie powróci wcześniej. Rozumowała obecnie wcale chłodno i rozważnie.

— Dziękuję panu, tak długo czekać nie mogę — odparła Zofia.

W myśli zaś planowała:

— Pójdę pieszo do Mentony. Tam najmę konie, które mnie dowiozą do Nizzy... a z Nizzy pojadę koleją.

Poprosiła karczmarza, żeby jej wskazał najkrótszą, bezpieczną ścieżkę, po której mogłaby żwawo i bez obawy zejść w dolinę. Oberżysta, kłaniając się nizko, doprowadził ją do drożyny, po której muły, wracające z pastwiska, wchodziły na górę.

Zofia ruszyła naprzód odważnie.

Szła lekko, śmiało i niemal swobodnie; z początku jednak — dopóki mniemała, że można ją było dostrzedz z willi — z pewnym niepokojem w piersi.

W pół godziny potem znalazła się w dosyć gęstym lasku oliwnym. Tu postanowiła odpocząć. Ukryta za grubym pniem starego drzewa, zwróciła się twarzą w stronę domu, szukając go wzrokiem. Biały, lśnił odbiciem promieni słonecznych, ukośnie nań padających od zachodu. Równocześnie na szarem tle skał sterczących w pobliżu willi, spostrzegła ciemną sylwetę powracającego z ukrycia męża.

Coś niby wyzwanie zabłysło w jej oczach.

Nie lęka go się, nie lęka! Człowiek, który przed chwilą odniósł nad nią zwycięstwo i stał się poniekąd jej samowładnym panem, bo czuła, że lada moment uledz mu będzie musiała, nie przerażał już Zofii wcale. Teraz jest niczem dla niej!

W Zygmuncie znajdzie obecnie opiekuna i obrońcę, bo go przecież zastanie i nie pozwoli mu odpłynąć zaraz...

(Ciąg dalszy nastąpi).


Z Bośni: Żołnierze tureccy przy raporcie. Na pierwszym planie kapitan turecki.


Z Bośni: Wieśniaczki w odświętnym stroju z okolic Plevlje. W środku panna młoda.

Z Bośni.

Równocześnie z proklamacyą niezawisłości Bułgaryi ogłosiły Austro-Węgry aneksyę okupowanych dotąd krajów bałkańskich, Bośni i Hercegowiny, zarządzając natomiast ewakuacyę Sandżaku Novi Bazar, gdzie dotąd obok wojsk tureckich były i załogi austryackie.


Z Bośni: Sulejmana baszę, byłego gubernatora w Plevlje, zmuszonego przez Młodoturków do ucieczki, przyjmuje austryacka kompania honorowa.

Od r. 1466 pozostawała Bośnia pod rządami tureckimi aż do roku 1878, gdy na mocy uchwał kongresu berlińskiego oddano ją wraz z Hercegowiną w zarząd monarchii austryacko-węgierskiej. Odtąd z ramienia nowego rządu, dzierżył najwyższą władzę w kraju wspólny minister finansów, faktycznym zaś zarządcą kraju był każdorazowy komendant korpusu okupacyjnego, zarazem najwyższy cywilny dostojnik. Ostatnim komendantem był gen. Winzor, następca bar. Alboriego, byłego komendanta krakowskiego korpusu. Obecnie rządy nowej prowincyi obejmuje c. i k. namiestnik, którym ma zostać hr. Zichy, mąż zaufania następcy tronu, arcyksięcia Franciszka Ferdynanda. O ile rządy tureckie były dla Bośni w skutkach swych bardzo niekorzystne, gdyż miejscową ludność słowiańską wywieziono do Azyi i tam sprzedano, na jej zaś miejsce osadzono Turków, Greków i innych przybyszów, o tyle pod rządami austryacko-węgierskimi kraj zaczął przychodzić do dobrobytu, pokrył się siecią gościńców i dróg kolei żelaznych, zakwitnął handel i przemysł. Nowe rządy zaznaczyły się bardzo dodatnio tolerancyą względem muzułmanów, do tego stopnia, że choć żołnierze bośniaccy przysięgali wierność cesarzowi austryackiemu, modlili się przecież za sułtana.

Układ, zawarty w r. 1879 pomiędzy Austryą a Turcyą, zastrzegał sułtanowi prawa monarsze w stosunku do Bośni i Hercegowiny. Szczególniej krwawy był początek dziewiętnastego stulecia, gdyż od r. 1807 do r. 1853 w strumieniach krwi topili Turcy wszystkie usiłowania miejscowej ludności i sąsiadów wybicia się na wolność.

Miejscowa ludność, podburzana przez Serbię,


Z Bośni: Graniczna miejscowość Sandżak, skąd wkrótce ustępują wojska austryackie.

nie była zadowolona z okupacyi. Gdy po wojnie rosyjsko-tureckiej obradował kongres berliński nad ukształtowaniem nowej karty półwyspu bałkańskiego, powstańcy bośniaccy wysłali do Berlina gen.


Z Bośni: Austryaccy oficerowie, karmiący wałęsające się po ulicach psy. W głębi żołnierz turecki i żołnierze austryaccy.


Z Bośni: Mimo naprężonych stosunków przyjazne spotkanie austryackiego i tureckiego oficera na granicy.



Z Bośni: Żołnierze tureccy w porze obiadowej.

Z Bośni: Włościanie z okolic Plevlje (Sandżak).

Despotowicza z żądaniem, aby Bośnię złączono z Serbią. Kongres nie przychylił się do tych żądań, polecono Austryi zaprowadzenie ładu w obu prowincyach, to też wojska austryackie, które przekroczyły Dunaj w dniu 27 lipca 1878 r. pod dowództwem feldmarszałka Filipowicza, spotkały się z oporem ludności, na jaki nie były przygotowane. Silny opór powstańców ułatwiał niedogodny dla operacyi wojsk regularnych górzysty teren. Każdy przesmyk, każda skała stanowiła dla powstańców doskonałe miejsce zasadzki; wśród trudów i przygód dotarto nareszcie pod mury stolicy, Serajewa, które po zaciętym oporze zostało w dniu 19 sierpnia 1878 zdobyte szturmem. Gdy dowódca powstania, Hadżi-Loja, dostał się w ręce zwycięzców, powstanie uważać było można za skończone. Austrya obsadziła wszystkie ważniejsze punkty i rozpoczęła powoli a systematycznie wprowadzanie reform, z któremi wkrótce zgodziła się i miejscowa ludność.

Ludność Bośni i Hercegowiny jest przeważnie serbskiego pochodzenia. Arystokracyę stanowią Serbowie wyznania mahometańskiego, dzielący się na bejów i agów. Szczególniej muzułmanie obawiali się zmiany rządów, gdy jednak poznali tolerancyę religijną nowego rządu, pogodzili się z konieczności z nowym prądem, a obecnie po trzydziestoletnich rządach austryackich niemal entuzyastycznie przyjęli wiadomość o wcieleniu Bośni z Hercegowiną w skład krajów korony austryacko-węgierskiej.



Z Bośni: Ładowanie piasku.

Ostatni krok rządu austro-węgierskiego spowodowany był nowem ukształtowaniem się stosunków na półwyspie bałkańskim, od czasu przywrócenia konstytucyi w Turcyi.

Dążenia konstytucyjne miejscowej ludności musiały być z czasem uwzględnione. Choć Bośnia i Hercegowina okupowane były przez Austro-Węgry, formalnie należały pod berło sułtańskie. W razie wprowadzenia sejmu zdarzyć się mogło, że mahometańscy posłowie zechcieliby, i to nawet całkiem le-



Z Bośni: Junak bośniacki.



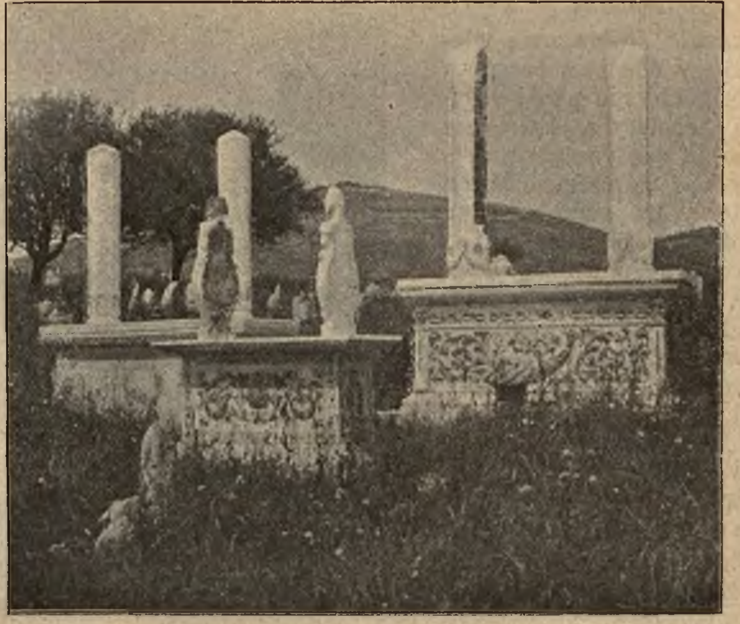
Z Bośni: Oficerowie austryaccy w towarzystwie miejscowych włościan.



Z Bośni: Jazda rekonesansowa austryackich oficerów.



Z Bośni: Część głównej ulicy w Plevlje.



Z Bośni: Cmentarz turecki w Plevlje.

galnie, rozpocząć obrady okrzykiem na cześć sułtana, uchwalić adres do niego, słowem płatać prawnopaństwowe figle, bardzo a bardzo dla międzynarodowych stosunków niebezpieczne. To był jeden powód. Drugim, może nawet ważniejszym była



Z Bośni: Życie uliczne w Plevlje. Na prawo altana kawiarni »Luft«, na lewo koszary trenu.

wzmagająca się coraz bardziej agitacya serbska, marząca stale o połączeniu wszystkich Serbów pod berłem Karageorgiewiczów, a mająca wybitne poparcie na dworze belgradzkim, jak to mieliśmy sposobność przekonać się z artykułu Tortkowica umieszczonego w *Osterreichische Rundschau*, w którym tenże nie opiera się na gołosłownych twierdzeniach, ale wywody swe popiera dosłownem przytoczeniem dokumentów, przedstawiających króla Piotra w bardzo brzydkiem świetle.

Obecnie gdy aneksya Bośni i Hercegowiny jest już faktem dokonanym — Serbia występuje otwarcie jako przeciwniczka aneksyi, potrząsając groźnie mieczem. Gdy ludność Bośni i Hercegowiny objawia głośno zadowolenie z powodu połączenia z Austryą i manifestuje swe wiernopoddańcze uczucia, względem Habsburgów, Serbowie chcą zmusić swój rząd do wypowiedzenia Austryi wojny, a ochoty do tego dodaje... i Czarnogóra! *Risum tenatis*!...

Austrya, choć pokojowo usposobiona, oświadcza jednak gotowość do walki, jeśli będzie do niej sprowokowaną, ale oświadcza w swych półurzędowych organach, że pierwszy strzał nad Dunajem, strąci koronę z głowy Karageorgiewiczów i ziścić może ich plany połączenia wszystkich Serbów, ale pod berłem... Habsburgów!

Podajemy szereg zdjęć fotograficznych, sporządzonych na miejscu przez naszego stałego współpracownika, który nadsyłać nam będzie i nadal swe korespondencye illustrowane fotografiami najaktualniejszych wypadków, jakie mogą się rozegrać na półwyspie bałkańskim.

Walka z cholerą.

Władze sanitarne w Petersburgu wytężają siły, aby przeszkodzić rozszerzaniu się cholery. Miasto przybrało wygląd zapowietrzonego, ścieki uliczne są oblane roztworem karbolu, na wszystkie strony roznosi wiatr ten charakterystyczny sanitarny zapach. Na wielu ulicach widać stoliki z samowarami i herbatą, aby ustrzedz przechodniów od picia surowej wody, rogi ulic oblepione różnymi przepisami sanitarnymi, wydawanymi przez naczelnika miasta, komitety opiekuńcze lub komisyę sanitarną. Na ulicach i placach publicznych spotyka się dorożki bez numerów — są to ekwipaże wynajęte przez miasto celem przewożenia chorych. Dla odróżnienia ich od dorożek, służących do zwyczajnego użytku, odebrano woźnicom numery. Na czele komisyi sanitarnej stoi generał Oppenheim, zwany w Petersburgu popularnie „cholerycznym dyktatorem“.



Z Bośni: Cygan Mujo, typowa postać uliczna w Plevlje.

Dzięki tym wszystkim zabiegom, przedsiębranym systematycznie i z potrzebną energią, a nadto z powodu zbliżania się zimy, epidemia powoli słabnie. W ostatnich dniach ilość wypadków śmiertelnych bardzo zmalała. Zarządzenia anticholeryczne dotarły i do pałacu Taurydzkiego, w którym znajduje się sala posiedzeń Dumy, gdyż z polecenia komisyi gospodarczej, której członkowie są już w Petersburgu, cały gmach poddano gruntownemu odkażeniu.

Na jakie nieprzyjemności narażeni są lekarze i studenci medycyny, niosący pomoc na przedmieściach, świadczy opowiadanie, pomieszczone przez jednego z nich w *Birżewyja Wiedomostjach*. Wydelegowano go do przeprowadzenia desinfekcyi w dzielnicy narwskiej. Gdy tylko się pokazał na podwórzu, gromada dzieciaków zaczęła krzyczeć:



Z Bośni: Przyjęcie uciekającego Sulejmana-baszy przez oficerów austryackich w kasynie wojskowem w Plevlje. (1 Sulejman-basza, 2 austryacki komendant Winzor).

„Przyszedł student z proszkami!“ Zbiegają się mieszkańcy domu i z początku proszą, aby nie podsypywał cholery, a jeśli to nie pomoże, zaczynają się groźby pod adresem lekarzy, „którzy umyślnie roznoszą cholerę“. Już i w samem mieście zakorzeniło się zdanie, że inteligencya sprowadziła umyślnie cholerę i stara się ją jeszcze powiększyć, aby wygubić prosty lud.

Wobec tego usposobienia ludności praca organów powołanych do tłumienia epidemii jest bardzo ciężką, nie ustają one jednak w gorliwości, jak świadczą zamieszczone obok illustracye.



Walka z cholerą: Masowe grzebanie zmarłych na cholerę w Petersburgu.



Prowokacye Serbii: Ks. Jerzy, następca tronu serbskiego.

W bałkańskiem piekle.

Sprawa ogłoszenia niezawisłości Bułgaryi i aneksyi Bośni i Hercogowiny wywołała w Europie daleko większe naprężenie, niż się spodziewano. Echa wojenne coraz głośniej rozlegają się z poza Dunaju, najczupurniej występuje Serbia, której wprost prowokujące wobec Austryi kroki, kto wie, czy nie staną się przyczyną zbrojnego starcia, jak na dziś nie dającego się jeszcze obliczyć w swych skutkach.

Krok Bułgaryi jest bezwarunkowo naruszeniem uchwał kongresu berlińskiego, jest to jednak sprawa właściwie domowa, między Bułgaryą a Turcyą. Można się było spodziewać, że przyjdzie między obu państwami do porozumienia, a europejskie mocarstwa, podpisane na traktacie berlińskim, dadzą swoje *placet*. Tymczasem sprawa weszła w nowe stadyum, gdy równocześnie ogłoszono aneksyę Bośni i Hercogowiny, Kreta połączyła się z Grecyą do czego dąży i Samos, a i w Albanii rozpoczął się ruch wolnościowy. Na całym półwyspie zawrzało, na co — jak się zdaje — koncert europejski nie był przygotowany, spodziewano się starcia między Turcyą a Bułgaryą, najmniej zaś kroków wojennych serbsko-austryackich.

W rządowych kołach tureckich dziś jeszcze zaprzeczają, jakoby istniały zamiary wojenne, jakkolwiek nie tają, że generał dywizyi, Zuber-basza, wysłany został nad granicę bułgarską i tam już przybył.

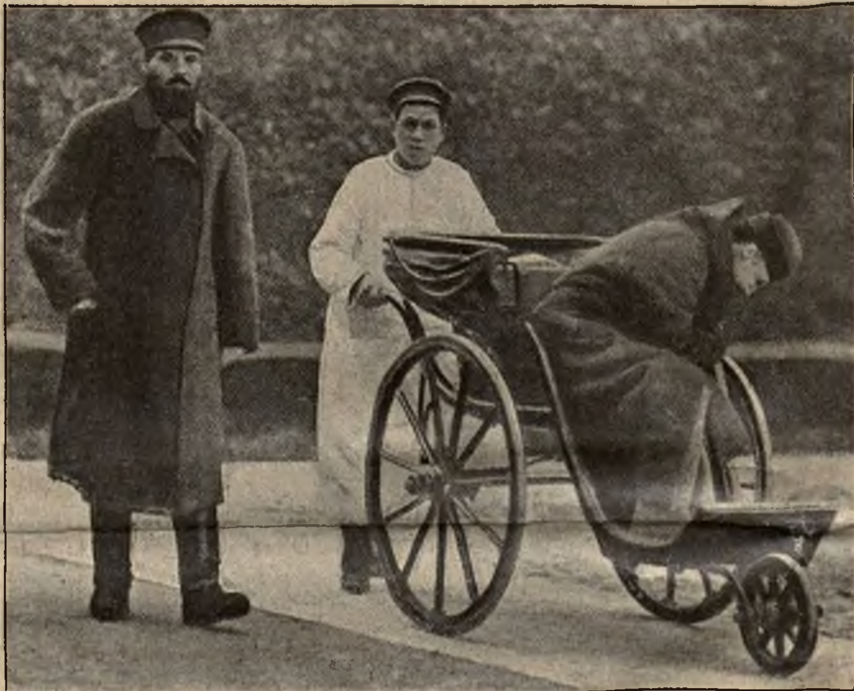
Porta na telegram ks. Ferdynanda, w którym tenże donosi o proklamowaniu się królem, a zarazem zapewnia sułtana o swym wysokim szacunku dla jego osoby i sympatyi dla narodu tureckiego, odpowiedziała depeszą, wyrażającą zdziwienie z powodu naruszenia traktatu berlińskiego. Wielki wezyr zaznaczył wyraźnie, że rząd turecki poczyni kroki, aby wspólnie z mocarstwami, podpisanemi na traktacie berlińskim, strzedz swoich praw.

Obrazek kultury niemieckiej.

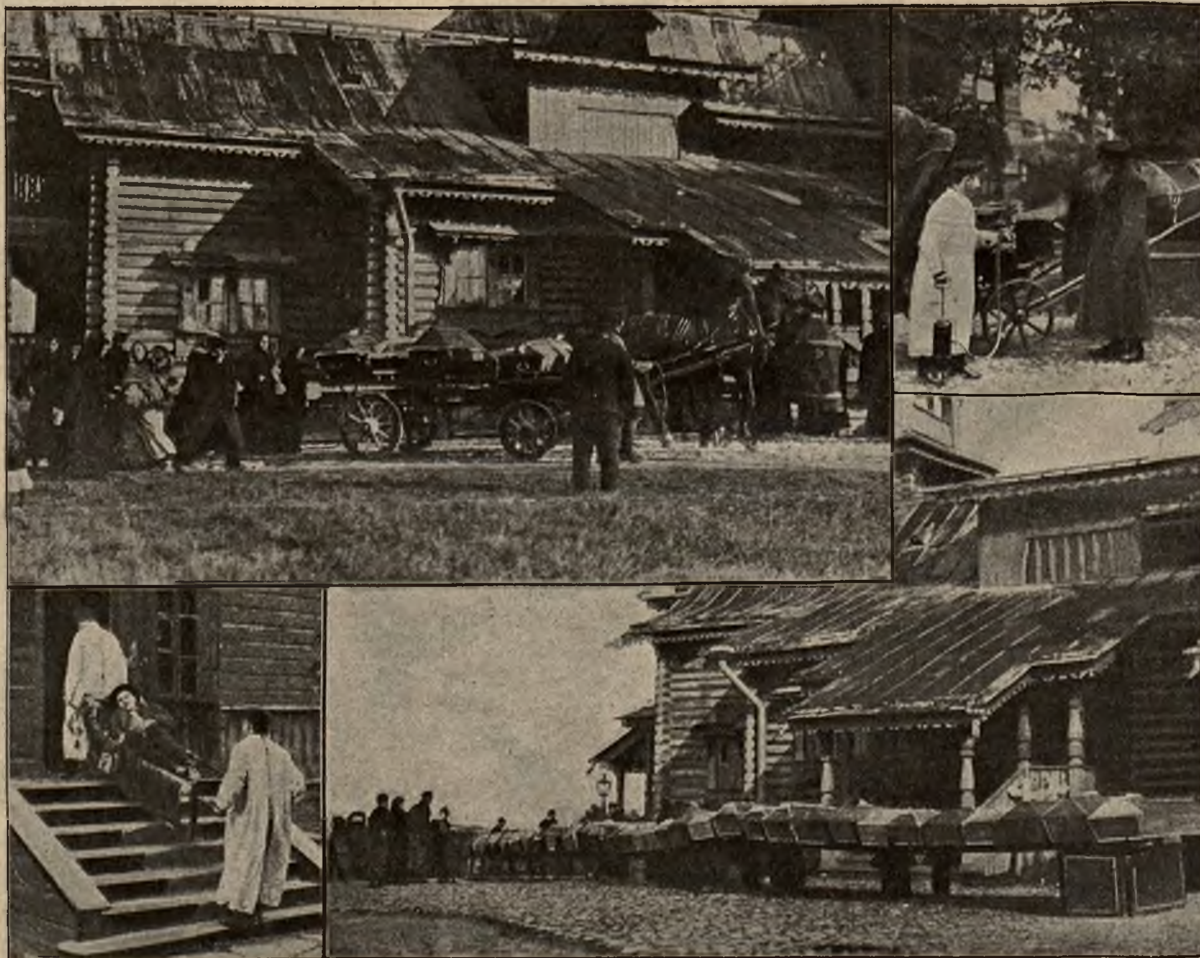
W ostatnich czasach coraz częściej ponawiają się różne wybryki Niemców, skierowane przeciw narodowościom słowiańskim. Ten naród, który tak głośno i często mówi o swej wysokiej kulturze, na każdym przecież kroku zadaje kłam swym oświadczeniom, dopuszczając się wybryków, które byłyby wytłumaczone chyba u niedorostków ulicznych, a nie u dojrzałych mężów. Taką bronią walczą nasi przeciwnicy, ośmieszając się tylko w oczach poważnie myślących ludzi.

Po Chorwacyi i Czechach przyszła kolej na Cieszyn. Solą w oku hakatystów niemieckich jest: *Dziennik Cieszyński*. Niema dnia, aby nie zdarto tablic, na których wywiesza Redakcya numery swego pisma na widok publiczny przed „Domem narodowym“ i Spółką spożywczą. W nocy na 28 go września zasmarowano smołą, jak wskazuje załączona illustracya, okna parterowe redakcyi. Gromady ludu, które na drugi dzień przybyły do miasta na targ, stały przed „Domem narodowym“ i podziwiały tak znamienny objaw kultury germańskiej. Ponieważ zarząd „Domu narodowego“ zaraz oświadczył władzy, że okien zmywać nie będzie, poleciło starostwo policyi miejskiej oczyścić okna. Ku ogólnej uciesze zebranej gawiedzi, pachołcy miejscy, którzy kto wie, czy sami w zasmarowaniu nie brali udziału, musieli z bólem serca zabrać się do miłej pracy. Ludność polska z uznania godną cierpliwością znosi te wybryki szowinizmu niemieckiego, ale i jej z czasem może się sprzykrzyć, a wtedy Niemcy będą musieli sami sobie przypisać winę.

Załączamy obrazek, będący jednym listkiem więcej do wieńca laurowego, hakatystów śląskich.



Walka z cholerą: Przewożenie chorego z mieszkania do szpitala cholerycznego.



Walka z cholerą: 1. Pogrzeb ofiar. 2. Desinfekcya. 3. Przenoszenie chorych z mieszkania do szpitala. 4. Przygotowanie do masowego pogrzebu.

Włamywacz Gentleman.

PRZYGODY ZBRODNIARZA.

przez **Maurycego Leblanc.**

12 (Ciąg dalszy).

— Będziesz ty.

— Tak przypuszczam. Pańskie imię?

— Arsen Lupin.

— Arsen Lupin!

Zachwiał się, jakby pod uderzeniem maczugi. Zdawało się, że te dwa słowa pozbawiły go wszelkiej nadziei.

Daspry począł się śmiać.

— Aha! wyobrażałeś sobie, że jakiś pan Durand, albo pan Dupond potrafiłby tak poprowadzić cały ten piękny interes? Przepraszam, na to potrzeba przynajmniej takiego Arsena Lupin. A teraz, skoro już zaspokoiłeś swoją ciekawość, idź, mój chłopcze, przygotuj się do odwetu. Arsen Lupin oczekuje na ciebie.

I nie rzekłszy nic więcej, wypchnął go za drzwi.

* * *

— Daspry, Daspry! — wołałem, nazywając go mimowoli tem nazwiskiem, pod którem znałem go dotąd.

Rozsunąłem aksamitną firankę. Przybiegł.

— Co? co się stało?

— Pani Andermatt zasłabła.

Rzucił się, trzeźwił solami, a nie przestając ją cucić, zapytywał mnie:

— Lecz cóż tu zaszło?

— Listy — odpowiedziałem — listy Ludwika Lacombe, które oddałeś jej mężowi.

Uderzył się w czoło.

— Uwierzyła temu!... Ach tak, mogła uwierzyć, że to zrobiłem. Głupiec ze mnie!

Pani Andermatt już przytomna przysłuchiwała się chciwie. On zaś wyjął ze swego portfelu mały pakiecik, zupełnie podobny do tego, jaki wręczył panu Andermattowi.

— Oto są pani listy, autentyczne.

— A... a tamte?

— Tamte są takie same; skopiowałem je dzisiejszej nocy i dobrałem starannie. Mąż pani tem chętniej będzie je czytał, że nie może podejrzywać zamiany: wszystko działo się w jego oczach.

— Lecz pismo?

— Niema pisma, którego nie można byłoby naśladować.

Podziękowała temi samemi słowami wdzięczności, jakieby zwróciła do kogoś z towarzystwa; przekonałem się wkrótce, że nie słyszała ostatnich słów, zamienionych między Varinem i Arsenem Lupin.

Spoglądałem na niego nie bez zakłopotania, nie bardzo wiedząc, co mam powiedzieć staremu druhowi, który ukazał mi się nagle w świetle tak nieprzewidzianem. Lupin! To był Lupin! Zwykły towarzysz naszego kółka nie był nikim innym, jak Arsenem Lupin! Nie mogłem z tem się jakoś pogodzić. A on bardzo tem rozbawiony, zawołał nagle:

— Możesz pan pożegnać się z panem Janem Daspry.

— Ach!

— Tak, Jan Daspry odjeżdża. Wysyłam go do Marokko. Być może, że znajdzie tam śmierć godną siebie. Przyznam, że leży to nawet w jego intencyach.

— Ale Arsen Lupin nam zostaje?

— Och — nigdy bardziej — jak teraz. Arsen Lupin rozpoczyna zaledwo swoją karyerę i rozlicza...

Jakaś nieprzełamana ciekawość paliła mnie jeszcze, więc uprowadziwszy go o parę kroków od pani Andermatt, spytałem:

— Więc ostatecznie odkryłeś pan tę drugą skrytkę, w której znajdowały się listy?

— Och, miałem z tem biedę! Zaledwo wczoraj, popołudniu, podczas kiedy pan spałeś. A wszakże, Boże mój, jakie to było łatwe! Ale tak zawsze: do rzeczy najprostszych przychodzi się na końcu.

Wskazał mi siódemkę kierową.

— Dobrze zgadłem, że dla otwarcia większej skrzyneczki trzeba oprzeć kartę o miecz tego poczciwca mozajkowego.

— Jakże to pan odgadłeś?

— Bardzo łatwo. Z moich wywiadów prywatnych wiedziałem już, przychodząc tu wieczorem 22 czerwca...

— Pożegnawszy się ze mną...

— Tak, i wprowadziwszy pana stosownemi opowieściami w taki stan umysłu, że nawet mniej nerwowy i wrażliwy niż pan, musiałby pozostawić mi wolne pole do działania, a sam nie poruszyłby się z łóżka.

— Wniosek bardzo słuszny.

— Przychodząc tu, wiedziałem zatem, że jest gdzieś schowek w skrzynce, zamkniętej na zamek tajemny i siódemka kierowa jest właśnie tym kluczem, tem słowem zagadki zamku. Szło więc tylko o to, aby przyłożyć siódemkę w miejscu, które wyłącznie dla niej zachowane było. Godzina poszukiwań wystarczyła mi na to.

— Godzina!

— Przypatrz się pan temu poczciwcowi mozajkowemu.

— Staremu królowi?

— Stary ten król jest przecież wiernym wizerunkiem kierowego króla zwykłych kart francuskich, Karola Wielkiego.

— Rzeczywiście. Ale jakim sposobem siódemka kierowa otwiera raz większą, drugi raz mniejszą skrzyneczkę? I dlaczego otwarłeś pan zrazu tylko większą?

— Dlaczego? bo usiłowałem zawsze umieszczać siódemkę w jednym i tym samym kierunku. I dopiero wczoraj spostrzegłem, że odwracając ją, to jest zostawiając siódmy punkt środkowy w powietrzu, zamiast przykładać go na dole, zmieniam położenie wszystkich siedmiu punktów.

— Do dyaska!

— Istotnie do dyaska, ale trzeba było nad tem pomyśleć.

— Jeszcze jedno: pan nie wiedziałeś o tych listach, zanim pani Andermatt...

— O nich mi powiedziała? Tak. W skrzynce znalazłem tylko listy obu braci, które mnie naprowadziły na ślad ich zdrady.

— Jednem słowem tylko prosty przypadek doprowadził pana zrazu do historyi obu braci, a potem do poszukiwań planów i dokumentów podwodnego statku.

— Tylko przypadek.

— Jednak w jakim celu czyniłeś pan te poszukiwania?

— Mój Boże, jak bardzo ta sprawa pana zaciekawia!

— Roznamiętnia raczej.

— Dobrze zatem, jak tylko odprowadzę panią Andermatt i prześlę parę słów do *Echo de France* które tu zaraz napiszę, powrócę do pana i roztrząśniemy szczegóły.

Usiadł i skreślił krótką, treściwą notatkę, w której odbiła się cała fantazya jego umysłu. Któż nie pamięta tej wrzawy, jaką sprawiła w całym świecie?

„Arsen Lupin rozwiązał zadanie, które niedawno postawił Salwator. Zawładnąwszy wszystkimi dokumentami i oryginalnymi planami inżyniera Ludwika Lacombe'a, przesłał je do rąk ministra marynarki. Przy tej sposobności otwiera składkę na zaofiarowanie państwu pierwszego podwodnego statku, zbudowanego podług tych planów. Na czele tej składki podpisuje się sam na sumę dwudziestu tysięcy franków".

— Dwadzieścia tysięcy franków na czeki pana Andermatta? — spytałem, gdy dał mi do przeczytania tę notatkę.

— Zapewne. Słusznem jest, aby Varin chociaż w części okupił swoją zdradę.

* * *

I oto jakim sposobem poznałem Arsena Lupin. Oto jak dowiedziałem się, że Jan Daspry, towarzysz naszego kółka, znajomość światowa, to nie kto inny, jak Arsen Lupin, gentelmen-włamywacz. Oto jakim sposobem zawiązałem stosunki przyjaźni, bardzo przyjemne z naszym wielkim człowiekiem i jak z czasem, dzięki zaufaniu, którem mnie zaszczycał, stałem się jego uniżonym, bardzo wiernym i bardzo wdzięcznym dziejopisem.

Kasa ogniotrwała pani Imbert.

O trzeciej zrana z pół tuzina powozów stało jeszcze przed jednym z małych domów, które tworzą jedną tylko stronę ulicy przy bulwarze Berthier. Drzwi domu otwarły się. Wyszła gromadka gości, panowie i panie. Cztery powozy ruszyły na prawo i na lewo; w alei pozostało tylko dwóch panów i ci rozstali się wkrótce na rogu ulicy Courcelles, gdzie jeden z nich mieszkał. Drugi postanowił udać się pieszo aż do bramy Maillot.

Przeciął więc aleję Villiers i dalej szedł chodnikiem wzdłuż fortyfikacyi. Była piękna noc zimowa, czysta i chłodna, i przyjemnie się było przejść. Oddychało się dobrze. Szmer stąpań rozlegał się ostro.

Ale po kilkunastu minutach idący doznał nieprzyjemnego wrażenia, że ktoś za nim idzie. Jakoż obróciwszy się, spostrzegł cień jakiś, przesuwający się pod drzewami. Nie był bojaźliwym; przyspieszył wszakże kroku, aby zdążyć co najprędzej do gmachu cłowego Ternes. Ale i za nim idący począł biedz. Mocno tem zaniepokojony pomyślał, że lepiej będzie zmierzyć się z niebezpieczeństwem, zatrzymać się i dostać rewolwer z kieszeni.

Ale nie miał na to czasu. Napastnik wpadł nań raptownie i w jednej chwili zawiązała się walka na pustym bulwarze, walka zajadła. Schwyciwszy się w pół ciała, mocowali się zaciekle, ale napadnięty uczuł niebawem, że przegrywa. Zawołał o pomoc, bronił się, lecz wkrótce pchnięty, padł na kupę kamieni, a przeciwnik ścisnął go za gardło i chustką zakneblował usta. Zamknęły mu się oczy, w uszach szumiało i tracił już przytomność, kiedy nagle uczuł, że uścisk się rozluźnia i napastnik, przytłaczający go całym ciężarem, zerwał się nagle, aby bronić się przeciw napaści, która z kolei spadała na niego.

Uderzenie laską w kostkę zapięścia, drugie butem w kostkę u nogi... i rabuś, ryknąwszy z bólu dwa razy, począł uciekać, kulejąc a klnąc.

Nie racząc gonić za nim, nowoprzybyły pochylił się i spytał:

— Czy nie jesteś pan ranny?

Nie był rannym, ale zupełnie ogłuszonym i nie mógł utrzymać się na nogach. Na szczęście jeden z urzędników cłowych, usłyszawszy krzyki, przybiegł z pomocą. Sprowadzono dorożkę; napastowany ze swoim zbawcą wsiadł do niej i odwieziono go do mieszkania przy ulicy de la Grande Armée.

Stanąwszy na miejscu zupełnie już otrzeźwiony rozpłynął się w podziękowaniach.

— Zawdzięczam panu życie, proszę wierzyć, że nigdy o tem nie zapomnę. Nie chcę dziś trwożyć mojej żony, ale pragnę, aby ona sama wyraziła panu moją wdzięczność.

Zaprosił go na śniadanie i przedstawił się: Ludwik Imbert, dorzucając:

— Czy mogę wiedzieć, komu mam zaszczyt...

— Ale naturalnie — odrzekł drugi.

I przedstawił się:

— Arsen Lupin.

* * *

Arsen Lupin nie posiadał jeszcze tej sławy, jaką mu nadała sprawa Cahorn, ucieczka z La Santé i tyle innych rozgłośnych czynów. Nie nazywał się nawet Arsenem Lupin. To imię, któremu przyszłość nadać miała blask niepospolity, było specyalnie stworzonem dla zbawcy pana Imbert i można byłoby powiedzieć, że w tej to sprawie Lupin otrzymał chrzest ognia. Co prawda gotowy do walki, zbrojny wszelaką bronią, ale bez środków, bez powagi, jaką nadaje powodzenie, Arsen Lupin był zaledwo terminatorem w tym fachu, w którym wkrótce zasłynąć miał jako mistrz.

A zatem co za dreszcz radosny przy przebudzeniu, kiedy przypomniał sobie otrzymane w nocy zaproszenie. Nakoniec stawał u celu! Nakoniec przystępował do czynu, godnego swoich sił i talentu. Miliony Imbertów! co za wspaniała zdobycz na taki, jak jego apetyt!

Ubrał się w tym celu specyalnie: surdut znoszony, spodnie wytarte, jedwabny kapelusz trochę czerwonawy, mankiety i kołnierzyk wystrzępione — całość bardzo czysta, ale trącąca nędzą. Zamiast krawatu czarna wstążka, zapięta spinką z fałszywym dyamentem. Tak przystrojony zbiegł ze schodów swego mieszkania na Montmartre. Na trzeciem piętrze, nie zatrzymując się, gałką laski zapukał w zamknięte drzwi. Stanąwszy już na ulicy, zwrócił się na bulwary. Przejeżdżał tramwaj. Zajął w nim miejsce, i ktoś — kto szedł za nim ciągle — lokator trzeciego piętra, usiadł obok niego.

Po chwili milczenia sąsiad rozpoczął:

— Cóż patronie?

— A cóż, stało się.

— No?

— Idę tam na śniadanie.

— Idziesz pan na śniadanie!

— Spodziewam się, że życzyłbyś mi, abym nadaremnie narażał życie tak cenne jak moje? Z rąk pewnej śmierci, którą mu przygotowałeś, wyrwałem pana Ludwika Imbert. Pan Ludwik Im-

bert jest naturą wdzięczną. Zaprosił mnie na śniadanie.

Znowu milczenie; poczem tamten odważył się zapytać:

— A zatem nie cofasz się pan?

— Mój chłopcze! — odrzekł Arsen — jeśli zmajstrowałem tę małą zaczepkę dzisiejszej nocy, jeśli fatygowałem się o trzeciej w nocy aż do fortyfikacyi, aby wyciąć cię laską w pięść i nogą w piszczel, narażając się przez to na stratę jedynego przyjaciela, to nie po to, aby odmówić teraz nagrody tak bardzo dobrze zorganizowanngo ratunku.

— Jednak te krzywdzące gawędy, co krążą o bogactwie...

— Niech krążą. Od sześciu miesięcy badam tę sprawę, od sześciu miesięcy uczę się, studyuję, rozciągam sieci, wybaduję służących, księży, włóczęgów, sześć miesięcy jestem cieniem męża i żony. Zatem wiem, czego się trzymać. Czy mienie pochodzi od starego Brawford — jak utrzymują — czy z innego źródła, ja twierdzę, że ono istnieje. A ponieważ istnieje, więc należy do mnie.

— Do dyabła, sto milionów!

— Niech będzie dziesięć, nawet pięć, nie szkodzi! W kasie są grube pakiety papierów procentowych. Dyabła zjedzą, jeśli którego dnia nie położę ręki na zamku.

Tramwaj stanął na placu l'Etoile. Towarzysz Arsena szepnął:

— Więc na teraz?

— Na teraz niema nic do roboty. Dam znać. Mamy czas jeszcze.

W pięć minut potem Arsen Lupin wstępował na wspaniałe schody pałacu Imbertów i Ludwik Imbert przedstawił go swojej żonie. Gerwaza była to mała dobra kobiecinka, okrąglutka i bardzo gadatliwa. Przyjęła Lupina życzliwie.

— Pragnęłam, abyśmy sami tylko uczcili naszego wybawcę — rzekła.

I od razu traktowała „naszego wybawcę“ jak przyjaciela starej daty. Przy deserze zapanowała zupełna szczerość i wynurzania się płynęły w najlepsze. Arsen opowiedział swoje życie, życie swojego ojca, nieposzlakowanego urzędnika, niedole swego dzieciństwa, trudne warunki obecnej chwili. Gerwaza z kolei opowiedziała o swojej młodości, o zamążpójściu, dobrodziejstwach starego Brawforda, o stumilionowym spadku, o przeszkodach, jakie stawały na drodze do osiągnięcia tej fortuny, o pożyczkach, które musiała zaciągnąć na niemożebne procenty, o starciach bez końca z synowcami Brawforda, a te areszty, te zajęcia sądowe, wszystko nareszcie!

— Pomyśl pan tylko, panie Lupin, papiery są tam, tuż obok, w biurze męża, a gdybyśmy odcięli jeden tylko kupon, tracimy wszystko! Leżą tam, w naszej kasie, a nie możemy dotknąć się ich nawet!

Lekki dreszcz przeszedł pana Lupin na wzmiankę o tem sąsiedztwie. Miało się bardzo wyraźne wrażenie, że pan Lupin nie dosięgnie nigdy tej wysokości duszy, jaką zachowała ta zacna niewiasta względem podobnych skrupułów.

— Ach, tam są — wyszeptał z wyschniętem gardłem.

Stosunki, rozpoczęte pod taką wróżbą, mogły się tylko zawiązać w bardzo ściste węzły. Delikatnie wybadany, Arsen Lupin przyznał się do swojej biedy, do swoich strapień. Nieszczęsny chłopak został natychmiast zamianowanym prywatnym sekretarzem obojga małżonków, z honorarym stupięćdziesięciu franków na miesiąc. Będzie mieszkał i nadal u siebie, a do nich będzie codzień przychodził dla zabrania roboty, przyczem, dla wygody, wyznaczono mu na gabinet do pracy jeden z pokojów na drugiem piętrze.

Przystał chętnie. Jakimże cudownym wypadkiem pokój ten znajdował się wprost nad biurem Ludwika?

* * *

Arsen Lupin spostrzegł niebawem, że jego posada sekretarza szalenie jest podobną do synekury. W przeciągu dwóch miesięcy skopiował tylko cztery małej wagi listy i raz jeden tylko przyzywany był do biura patrona, co dało mu możność raz jeden tylko oglądać urzędownie kasę ogniotrwałą. Oprócz tego zauważył, że posiadacz tej synekury nie uważa się być godnym figurowania obok deputowanego Anquetty, albo przewodniczącego Grouvel, został bowiem wykluczony z listy gości na słynnych przyjęciach w ich domu.

Nie wyrzekał na to, o wiele więcej zadowalniając się skromnem stanowiskiem w cieniu, trzymał się na uboczu, szczęśliwy i swobodny. Przytem nie tracił czasu. Zaraz z początku złożył pewną ilość wizyt potajemnych w biurze Ludwika i oświadczył służby swoje kasie ogniotrwałej, która niemniej pozostawała zawsze hermetycznie zamkniętą.

Była to ogromna masa z lanego żelaza i stali, o wstrętnym wyglądzie, wobec której pilnik, świder, nawet przemożne obcęgi traciły wszelkie znaczenie.

Arsen Lupin nie był szalonym.

— Gdzie siła nie może, tam chytrość pomoże — powiedział sobie. — Główna rzecz mieć oko i ucho w każdej potrzebie.



Uderzenie laską w kostkę zapięstną, drugie butem w kostkę u nogi i rabuś począł uciekać...

Zdjął zatem niezbędne wymiary i po najściślejszych, a nader trudnych przez parkiet swego pokoju sondowaniach, przeprowadził rurkę ołowianą aż do sufitu biura, wprowadzając ją między dwie listwy gzemsu.

Przez tę rurkę, tubę akustyczną i lunetę przybliżającą miał nadzieję widzieć i słyszeć wszystko...

Od tej chwili żył rozciągnięty bruchem na podłodze. I rzeczywiście często widział Imbertów, jak naradzali się przed kasą, przeglądali rachunki, przekładali papiery. Kiedy później obracali jeden po drugim cztery guziczki, wprawiające w ruch zamek, starał się zliczyć ilość szczebli, na które musiały zeskakiwać. Badał ich ruchy, szpiegował ich rozmowę. Co oni robili z kluczem? Czy go chowali?

Pewnego dnia spostrzegłszy, że wychodzą z pokoju nie zamknąwszy kasy, zbiegł szybko na dół i śmiało wszedł do biura. Wrócili.

— Ach, przepraszam — zawołał — pomyliłem się o drzwi.

Ale Gerwaza rzuciła się za nim i wciągając do pokoju, wołała:

— Ale wejdź pan, wejdź! Czyż nie jesteś u siebie? Poradzisz pan nam właśnie. Jakie akcye lepiej sprzedać, Exterieure, czy Rentę?

— A warunki? – zarzucił Lupin, ogromnie zdziwiony.

— Och, nie dotyczą wszystkich akcyj.

Uchyliła jedno skrzydło wieka. Na półkach, jeden przy drugim, stały portfele, związane przepaskami. Schwyciła jeden. Ale mąż żywo zaprotestował:

— Nie, nie, Gerwazo, byłoby to waryactwem sprzedawać Exterieures. Pójdą w górę, podczas gdy Renta już teraz stoi najwyżej. Co o tem myślisz, kochany przyjacielu?

Kochany przyjaciel nie miał swego zdania, poradził jednak sprzedać Rentę. Wówczas Imbertowa wzięła drugą plikę i z niej na chybił trafił wyciągnęła papier. Były to akcye trzyprocentowe po 1374 franków. Ludwik schował je do kieszeni. Popołudniu, w towarzystwie swego sekretarza poszedł je sprzedać za pośrednictwem jednego agenta zamiany i otrzymał za nie czterdzieści sześć tysięcy franków.

Chociaż Gerwaza utrzymywała inaczej, Arsen Lupin nie czuł się u siebie. Przeciwnie, stanowisko jego w domu Imbertów przynosiło mu mnóstwo niespodzianek.

Zauważał w wielu razach, że służba nie wie jego nazwiska. Nazywano go po prostu: pan. Ludwik naprzykład mówił o nim: „Powiecie panu... Czy pan przyszedł?“ Po cóż to zagadkowe nazywanie?

Dalej, po entuzyastycznem przyjęciu, Imbertowie zaledwie niekiedy przemówili do niego i pomimo, że obdarzali go względami, winnymi dobroczyńcy, nie zajmowali się nim wcale. Wyglądało, jakby uważali go za dziwaka, który nie lubi, aby mu przeszkadzano; szanowano jego samotność, jak gdyby była regułą życia, ustanowioną przez niego samego, lub jakimś jego kaprysem.

Pewnego razu, kiedy przechodził przez korytarz, posłyszał, jak Gerwaza mówiła do jakichś dwóch panów:

— Taki z niego dzikus!

I owszem, pomyślał, niech sobie będę dzikusem. I nie zagłębiając się nad śmiesznościami tych ludzi, pracował dalej nad przeprowadzeniem swego planu.

Zdobył tę pewność, że nie należy liczyć na przypadek, ani na nieuwagę Gerwazy, która nie rozstawała się z kluczem, i ponadto, zabierając ten klucz, nie zaniedbywała nigdy pomieszać litery zamku. Musiał zatem sam zacząć działać.

Pomógł mu w tem przypadek; a była nim wściekła kampania, wszczęta przeciw Imbertom przez pewne dzienniki. Pomawiano ich o oszustwo. Arsen Lupin był świadkiem przebiegu dramatu, wzburzenia małżonków i zrozumiał, że czekać jeszcze, to stracić wszystko.

Przez pięć dni z rzędu zamiast wracać do siebie o szóstej, jak to zwykle dotąd czynił, zamykał się w swoim pokoju. Myślano, że wyszedł. On tymczasem rozciągał się na podłodze i podpatrywał, co dzieje się w biurze Ludwika.

Przez pięć wieczorów nie zaszła żadna sprzyjająca okoliczność; wychodził w głęboką noc przez małe drzwiczki, wychodzące na podwórze, od których klucz posiadał.

Ale na szósty dzień dowiedział się, że Imbertowie w odpowiedzi na krzywdzące insynuacye swoich nieprzyjaciół, zaproponowali, aby otworzono kasę i spisano inwentarz.

— Zatem dzisiaj — pomyślał Lupin.

I rzeczywiście zaraz po obiedzie Ludwik zasiadł w swojem biurze. Gerwaza mu towarzyszyła. Zaczęli przeglądać regestry kasy.

Przeszła godzina, potem druga. Słyszał, jak służba odeszła na spoczynek. Nie było już nikogo na pierwszem piętrze. Północ. Imbertowie pracowali dalej.

— W drogę! — szepnął Lupin.

Otworzył okno. Wychodziło na podwórze i przestrzeń, bez gwiazd i księżyca, była ciemną. Wyjął z szafy sznur i węzłami przymocował go odbrze do poręczy balkonu, uchwycił się go i opierając się o rynnę, zsunął się cichutko aż do okna, znajdującego się pod jego oknem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Nowy szef sądu karnego we Lwowie.

Ustąpienie prezydenta Przyłuskiego ze stanowiska szefa krajowego sądu karnego we Lwowie dało powód do niepokoju i troski szerokim sferom obywatelstwa naszego, zachodziło bowiem niebezpieczeństwo, iż ważny ten posterunek, to wybitne stanowisko sędziowskie może się dostać w ręce niepowołane, w ręce niepolskie. Byłoby to tem bardziej niebezpieczne w dzisiejszych czasach, gdy i tak zakusy w kierunku zrutenizowania sądownictwa w Galicyi wschodniej są coraz silniejsze, a nawet we Lwowie się objawiają.

To też z szczerą radością i zadowoleniem powszechnem przyjęto we Lwowie wiadomość, ogłoszoną we wtorkowych dziennikach popołudniowych, iż następcą prezydenta Przyłuskiego został prezydent obwodowego sądu w Brzeżanach, Stanisław Leszczyc Bróg Miłaszewski, osobistość powszechnie we Lwowie znana i ogólnym otaczana szacunkiem. W Brzeżanach bowiem przebywał p. Miłaszewski dopiero od lat dwu, poprzednio zaś pracował przez długi szereg lat we Lwowie, w rodzinnem swem mieście.

Karyerę swą rozpoczął przed niespełna trzydziestu laty, wstąpiwszy jako praktykant do sądu. Wybitne zdolności pozwoliły mu jednak rychło wybić się na czoło, to też przeznaczano go zwykle na odpowiedzialne i trudne stanowiska. Imię sw za,isał zaszczytnie zwłaszcza w roku 1899, kiedy jako kierownik sądu powiatowego s. I. we Lwowie powołany został do przeprowadzenia olbrzymiego śledztwa w sprawie pamiętnych i sensacyjnych malwersacyi w Galic. kasie oszczędności i w Banku kredytowym. Z zadania tego wywiązał się świetnie poczem powrócił na stanowisko kierownika sądu powiatowego, a przed dwoma laty mianowany został prezydentem sądu obwodowego w Brzeżanach, aby wnet potem powrócić do Lwowa, w charakterze szefa krajowego sądu karnego.

W niniejszym numerze zamieszczamy portret nowego szefa sądu karnego we Lwowie.



Obrazek kultury niemieckiej: Zasmarowane smołą przez śląskich hakatystów okna redakcyi »Dziennika cieszyńskiego.

Poświęcenie pomnika ś. p. Minchejmera.

W ubiegłym tygodniu odbyło się na cmentarzu Powązkowskim w Warszawie poświęcenie pomnika na grobie cenionego muzyka ś. p. Adama Minchejmera. W akcie poświęcenia, którego dokonał po odprawieniu modlitw ks. prof. Tauer, wzięła udział rodzina i licznie zebrani przedstawiciele muzyki i literatury.

Pomnik, postawiony „najdroższemu ojcu" przez syna Czesława, wykonany został przez art.-rzeźbiarza Gecewicza z czerwonego marmuru w stylu moderne w kształcie symbolicznej liry, na której spoczywa wykuty w bronzie ś. p. autor „Mazepy". Pod biustem złotem ryte w marmurze widnieją pierwsze nuty stworzonej przez zmarłego pieśni: „Hej flisacza dziatwo".



Poświęcenie pomnika ś. p. Minchejmera: Pomnik na grobie znanego kompozytora ś. p. Adama Minchejmera.



Katastrofa budowlana w Krakowie: Widok zawalonej kamienicy w godzinę po wypadku. (X) Miejsce, skąd z pod gruzów cegieł i żelaza wyciągano rannych i zabitego Wyzgę. (Do artykułu na str. 4).

Kronika tygodniowa.

(Pod znakiem Marsa. — Niepokoje w naturze. — Jubileusze, zjazdy i wystawy. — Cholera. — Kongres europejski. — Klinika psychiatryczna. — Składki).

Ubiegły tydzień miał panującą, czy panującego planetę (bo różnie chcą gramatycy, a w dzisiejszych wojowniczych czasach z nikim zadzierać nie warto) w osobie Marsa. Nie jest to ów lwowski Mars, którego znają nasze panie i który już niejednemu osobnikowi ułatwił przyjście na ten świat Boży, ale ów prawdziwy, potrząsający mieczem Mars, którego tak pięknie opiewa ś. p. nieboszczyk Homer. Choć i lwowski Mars zdałby się naszej polityce, gdyż rozwiązanie jest spodziewane, lada chwila i jak się zdaje, nie obejdzie się bez komplikacyi!

Całego bigosu nawarzył były książe, a obecny król Ferdynand. Z chwilą, gdy pogardził moją radą i wziął się do polityki na wielką skalę, na półwyspie Bałkańskim zawrzało, jakby w gniazdo szerszeni wpakował kto patyk. Austrya zaanektowała Bośnię wraz z Hercegowiną, co jej się słusznie należało za jej trudy i kłopoty, jakich doznała w ciągu lat trzydziestu; król Piotr serbski pogniewał się nie na żarty, ba, nawet książe czarnogórski postanowił ogłosić się królem. Nie wspominam nawet o wyspie Krecie, gdyż gabinet grecki wymawia się i sumituje, że z krokiem Kreteńczyków się nie godzi. Że traktat berliński został naruszony, to rzecz pewna, nie dziwię się więc wcale, że król Piotr założył swe *veto*, zwłaszcza że na moje ręce nadeszły już podobne protesty od rady gminnej w Kociej Wólce i od kahału w Bobowej. Odesłałem je, gdzie należy.

Żal mi swoją drogą króla Piotra, który skrobie się w głowę, jak powiadają z tej przyczyny, że go gryzie... sprawa bośniacka. Wykalkulował sobie biedaczek, że będzie pierwszym królem „wielkiej Serbii", a tu tak mu nagle spaliło na panewce. Toć nietylko król, ale nawet zwykły śmiertelnik mógłby wpaść w szewską pasyę, gdyby mu się tak zamiary pokrzyżowały. Nadto ma jednego zgryza jeszcze, on, który jak wiadomo jest takim arystokratą z urodzenia. Gniewa go to, że tytuł królewski się sposponuję, gdy na Bałkanie samym przybył już król bułgarski, a ma przybyć jeszcze czarnogórski. Europa jednak sympatuzuje z tym ruchem królewskim, gdyż, jak słyszałem, król kurkowy krakowski przesłał już Ferdynandowi koleżeńskie telegraficzne powitanie.

W poprzedniej kronice wspominałem na chybił trafił o projektowanym mym wymarszu do Bośni, widzę jednak, że tym razem gotowe się sprawdzić moje przypuszczenia i trzeba będzie iść bronić austryackich granic przed inwazyą serbską. Przeraża mnie to tem bardziej, że na czele atakujących Serbów ma stanąć następca tronu, ks. Jerzy, o którym tyle razy czytałem, że jest strasznie wojowniczego ducha nawet w czasie pokoju, cóż dopiero w czasie wojny!

Cała w tem nadzieja, że mocarstwa europejskie, bacząc pilnie na równowagę polityczną, a chwalące się ciągle swemi dążnościami pokojowemi, umitygują jakoś gniew obrażonych Karageorgewiczów. Księcia czarnogórskiego można ugłaskać obietnicą, że w przyszłym roku zostanie królem kurkowym w Krakowie, przeciw czemu, zdaje się, nie będą nic miały mocarstwa, podpisane na traktacie berlińskim. Skończy się na spaleniu kilku austryackich sztandarów, a choć pan Klofacz w Belgradzie zapewniał Serbów o sympatyi czeskiej i obiecał nawet dostarczyć muzykę do tworzącego się legionu ochotników, nastanie upragniony spokój zamiast spodziewanej wojny. Z tego odnieśli korzyść jak dotąd tylko rzeźnicy, gdyż z okazyi niebezpieczeństwa, w jakiem się mogły znaleźć serbskie świnie, uchwalili jednogłośnie podnieść cenę kiełbas i szynki.

Ten wojowniczy duch, wiejący z Bałkanu, objął i naszych polityków. Z podziwieniem czytaliśmy o spodziewanym pojedynku Badeniego z Kozłowskim i Czecza z Lubomirskim — potem starli się Oleśnicki z Dudykiewiczem, wreszcie ks. Stojałowski z Pastorem, jednak dzięki Bogu były to wybuchy tylko bezdymnego prochu, bez żadnych ujemnych skutków. I nasze niewiasty ogarnął rycerski animusz, odziedziczony po przodkach, wyruszyły na zdobycie sejmu, ale mężnie czoło stawił im marszałek Badeni radząc cierpliwość, która jest przecież znaną cnotą ewangeliczną, a jak wiadomo przecież niewiasty powinny dawać dobry przykład brzydkiej połowie rodzaju ludzkiego. Wojownicze usposobienie zapanowało poniekąd i w łonie krakowskiej rady miejskiej, gdyż Daszyński atakował Beringera i Federowicza, w obronie jednak zaczepionych wystąpił Leo, sławiąc bezgraniczną bezinteresowność rajców miejskich, którzy tylko dla dobra miasta dają się wybierać na ojców Krakusowego grodu, z uszczerbkiem nawet swej kieszeni (przy wyborach).

Te niepokoje pomiędzy ludźmi znalazły swój oddźwięk i w naturze. Nasza staruszka ziemia rozbrykała się także, a przypomniawszy sobie swe młode lata, poczęła skakać, ze względu na swój poważny wiek, w nocy, aby nikt nie podpatrzył. Trzęsienie owo było bardzo silne, gdyż choć odczuto je tylko we wschodniej Galicyi, przecież w Krakowie, w tydzień potem zwalił się dom. Przyczyną trzęsienia owego miała być według Ukraińców agitacya staroruska w Galicyi, według Starorusinów był to znak widomy, że coś złego się stanie (aresztowanie Monczałowskiego), według zaś zdania krakowskich dewotek był to prognostyk przyspieszonego końca świata, ze względu na napaści socyalistów na ks. Wróblewskiego. Ja zgadzam się z ostatniem zapatrywaniem, gdyż potwierdza ono moje przepowiednie, wygłoszone w poprzedniej kronice, a przemawia za niem i spostrzeżenie jakiegoś przygodnego astronoma z Podwołoczysk, który w krytycznym dniu, Görcowską lornetką obserwował plamy, czy dziury na słońcu, a spostrzeżenia swoje ogłosił drukiem w kuryerze lwowskim. W związku z tem stoi zapewne także zanik wody na ziemi, który tak przeraził krakowskie *Nowiny*. Niech się jednak szanowna Redakcya nie obraża, o brak wody się nie bójmy, gdyby jej nawet zabrakło w wodociągach będzie jej dość w głowach naszych wielkich uczonych, w artykułach politycznych i obietnicach rządu i posłów (przed wyborami).

Lecz byłby już czas dać pokój tej wojowniczej części kroniki, gdyż i mnie samego ogarnął już jakiś rycerski zapał, który sądzę udzielił się i Szanownym Czytelnikom, a zabrać się do spokojniejszych rzeczy. Mieliśmy w Krakowie jubileusz Resursy urzędniczej, która obchodziła pięćdziesiątą rocznicę swej patryotycznej działalności na polu kadryla i walca, we Lwowie zaś wystawę kucharską. Jakby na ironię protektorem wystawy kucharskiej był pan minister skarbu, ekscelencya Korytowski, widomy przedstawiciel owej śruby podatkowej, dzięki której zaczynamy się odzwyczajać od jedzenia, protektorem wystawy potraw postnych powinien był być pan Dębowski, reprezentant galicyjskiego szkolnictwa, czyli fabryk krajowych oleju (jak wiadomo ojcowie nasi w czasie postu spożywali potrawy na oleju). Wystawa ta wpłynęła także dodatnio na rozwój naszej rodzimej literatury t. zw. „apetycznej", gdyż pan Korosteński ogłosił drukiem: „Katalok i pamiętnik wystawy kucharskiej". Kto ma apetyt, niech tylko przeczyta kilka kartek, a głód zaspokoi. Krakowska komisya drożyźniana zakupiła już pięćdziesiąt egzemplarzy tego „pożywnego" dzieła. W rzędzie wystaw i zjazdów zanotować wypada także kongres stanu średniego, który się odbył w Wiedniu. Z Krakowa wyjechało tylko dwu przedstawicieli, reszta wybiera się na kongres stanu „chudego", jeśli tylko taki gdzie się odbędzie. Ma się także odbyć w Wiedniu kongres austryackich adwokatów, na który się jednak krakowska palestra nie wybiera, co jej się chwali. Byłoby jednak ładniej, gdyby inicyatywa wyszła była od nich samych, a nie dopiero po wezwaniu do bojkotu przez adwokatów czeskich.

Zaszczytną kronikarską wzmiankę muszę poświęcić i cholerze, która była dla nas na tyle łaskawą, że pogardziła naszym biednym krajem. Kraków już się godnie przygotowywał na jej przyjęcie, tymczasem zjechał protomedyk Merunowicz, i wszystkie przygotowania na nic! W związku z zarządzeniami anticholerycznemi będzie zapewne stał zakaz, wydany przez lwowską policyę, która zabroniła pochodu jubileuszowego obecnych i byłych uczniów gimnazyum Franciszka Józefa. Wiadomo, że irytacya szkodzi zdrowiu, gdyż wyprowadza z normalnego usposobienia, a pochód ten byłby pewnie rozsierdził Rusinów, więc też i zakaz umotywowany.

Z tej samej przyczyny radzi Anglia spokój Serbii i Czarnogórze, a król Edward zwinął swoją własną stajnię wyścigową, która mu tyle krwi psuła. Konie ze stadniny królewskiej zakupił podobno pan Babaczek ze Lwowa, na kiełbaski, które będą podane na międzynarodowym kongresie, jaki się ma odbyć, aby zreperować traktat berliński, w którym się pokazały dziury. Już rozpisano konkurs na dostawę prawdziwego pergaminu, jak dotąd zgłosiła się tylko Serbia, więc zdaje się, będzie się mogła utrzymać przy konkursie pergaminowym.

Spodziewany kongres bardzo poruszył wszystkich europejskich polityków, więc i mnie także. Wstrzymuję się jednak z wypowiedzeniem swego zdania, dopóki nie ogłosi coś konkretnego prasa polityczna. Wtedy całkiem spokojnie cudze myśli wezmę za swoje, jak to zrobił polityczny korespondent jednego z krakowskich dzienników, który w cztery dni po otwarciu delegacyj wspólnych, gdy już gazety kilka razy podały ich przebieg, ogłosił wrażenia ze swej podróży do Budapesztu w towarzystwie delegatów, zawiadamiając skromnie czytelników: „Dziś śmiało już powiedzieć mogę, że zasadniczej obstrukcyi w delegacyach przeciw anneksyi Bośni i Hercogowiny nie będzie". Tej samej taktyki użyję i ja i spodziewam się, że już w najbliższym numerze będę mógł podać Szanownym Czytelnikom sporą wiązankę wiadomości politycznych, może spóźnionych, ale za to pewnych!

Dla naszej znakomitości, które cierpią po większej części na obłęd wielkości, nie będzie bez interesu wiadomość, że w Krakowie budują nową klinikę psychiatryczną, wprawdzie nie na plantacyach, ale na placu Aryańskim. Przy tej sposobności dowiedzieliśmy się z komunikatu prof. Pilta, że już niema na świecie furyatów czyli szałowych, ale waryaci dzielą się na spokojnych i niebezpiecznych, czyli jest sobie taki wyryat pierwszej i drugiej klasy, coś jak goście J. E. pana namiestnika, którzy na zaproszeniach, podzieleni byli na Jaśnie Wielmożnych i tylko Wielmożnych, choć przecież wszystkim posłom, czy oni są konserwatystami, czy centrowcami, ludowcami lub choćby socyalistami, należy się tutuł Jaśnie. Oto nasi demokraci, nie zapomnieli się w gazetach upomnieć!

Ponieważ czytam w gazetach codziennych, że ofiarność na cele legionów serbskich staje się coraz wydatniejszą i nawet w Paryżu składają na ten cel gotówkę, aby tylko Austryi zrobić na złość, i ja przyłączam się do tego, ale nie mogąc w gotówce, przysyłam na ręce komitetu rewolucyjnego w Serbi dwadzieścia egzemplarzy *Nowości*, które mi Redakcya wielkodusznie na ten cel ofiarowała. Bałkańscy politycy znajdą tam wiele cennych wskazówek i będą mieli w obozie zajmującą a pouczającą lekturę, która skróci ich oczekiwania nim nad Driną rozlegną się pierwsze strzały. Spodziewam się że i Szanowni Czytelnicy, naśladując mój przykład pospieszą z wybitną pomocą dla Serbów, ofiarując ze względu na zbliżającą się porę deszczową kalosze i parasole, choćby używane, dla dzielnej armi króla Piotra. Datki najlepiej przysyłać na ręce posła Klofacza, który bawi obecnie w Belgradzie.

X.



Kącik humorystyczny.

W kawiarni.

Knoll (do swego teścia): Nu, gdzie jest mój posag, coś mi obiecał wypłacać?

Teść: Jakto, gdzie jest posag? Albo ja jestem rebus? (*x*)

Wskazówka.

Stara i brzydka żona pryncypała, zastając subjekta przy kasie:

— Przysięgłabym, że chcesz uciec z kasą, więc uciekną z tobą, choć na koniec świata!

Subjekt: To jest wskazówka opatrzności! Zostaję uczciwym!

Jubileusz zasłużonego literata.

W bieżącym tygodniu miał się odbyć w Warszawie bardzo uroczyście jubileusz działalności literackiej znanego publicysty Aleksandra Świętochowskiego, znanego także pod pseudonimem W. Okońskiego. Spodziewany był zjazd bardzo wielu



Nowy szef sądu karnego we Lwowie: Wiceprezydent Stanisław Leszczyc Bróg Miłaszewski.

reprezentantów naukowego świata, kraju i zagranicy, jednakże w ostatniej chwili publicznego urządzenia obchodu zakazano.

Aleksander Świętochowski urodził się w roku 1849 w Stoczku na Podlasiu, nauki gimnazyalne odbywał w Siedlcach i Lublinie, uniwersyteckie zaś w Szkole Głównej, przemienionej w międzyczasie na Uniwersytet Warszawski. W roku 1875 wyjechał celem dalszych studyów za granicę i w 1877 uzyskał na uniwersytecie lipskim doktorat filozofii na podstawie rozprawy: *Ein Versuch die Entstehung der Moralgesetze zu erklären*. Po powrocie do Warszawy objął redakcyę *Przeglądu tygodniowego*, poczem w grudniu 1878 r. przeniósł się do *Nowin*. W r. 1887 założył własny organ *Prawdę*, którą redagował do r. 1902. Prócz tego zasilał artykułami swego pióra *Gazetę Polską*, *Tygodnik illustrowany*, *Przegląd tygodniowy*, *Niwę*, *Ateneum* i *Tydzień* (lwowski). Wydał także kilka oddzielnych rozpraw treści filozoficznej oraz pod pseudonimem W. Okońskiego kilkanaście dramatów (Niewinni, Antea, Ojciec Makary, Aspazya, Błazen, Regina, Aureli Wiszar i in.) i powieści (Damian Capenko, Chawa Rubin i in.).



Pięćdziesięciolecie gimnazyum: Pochód uczniów gimnazyum Franciszka Józefa po nabożeństwie. (Do art. na str. 3).

Szanowny Jubilat cieszy się jeszcze doskonałem zdrowiem i hartem ducha, długie więc jeszcze lata pracować może na niwie ojczystej literatury, czego Mu w imieniu naszych licznych Prenumeratorów z tej i tamtej strony słupów granicznych serdecznie życząc, podajemy jego podobiznę, aby choć w ten sposób przyczynić się do uświetnienia tego pięknego święta w naszem polskiem piśmiennictwie! W literaturze polskiej zajął Świętochowski bardzo wybitne stanowisko. Występy jego literackie, często pod postacią artykułów, którymi zasilał pisma peryodyczne, czy też w samodzielnych publikacyach, spotykały się zawsze z uznaniem krytyki, ceniącej w jubilacie trafność zdania, jasność myśli, piękny i potoczysty styl oraz dokładne opracowanie materyału. Dramaty jego oznaczały się żywością akcyi i pięknym językiem, dlatego też w swoim czasie stanowiły i atrakcyę dla publiczności odwiedzającej teatr i czytywane były z przyjemnością.

W niniejszym numerze zamieszczamy portret zacnego jubilata.



Pięćdziesięciolecie gimnazyum: Pochód uczniów gimnazyum Franciszka Józefa po nabożeństwie. (Do art. na str. 3.



Precz z karczmą!: Wiec antialkoholiczny na boisku sokolem we Lwowie. (Do artykułu na str. 4.)

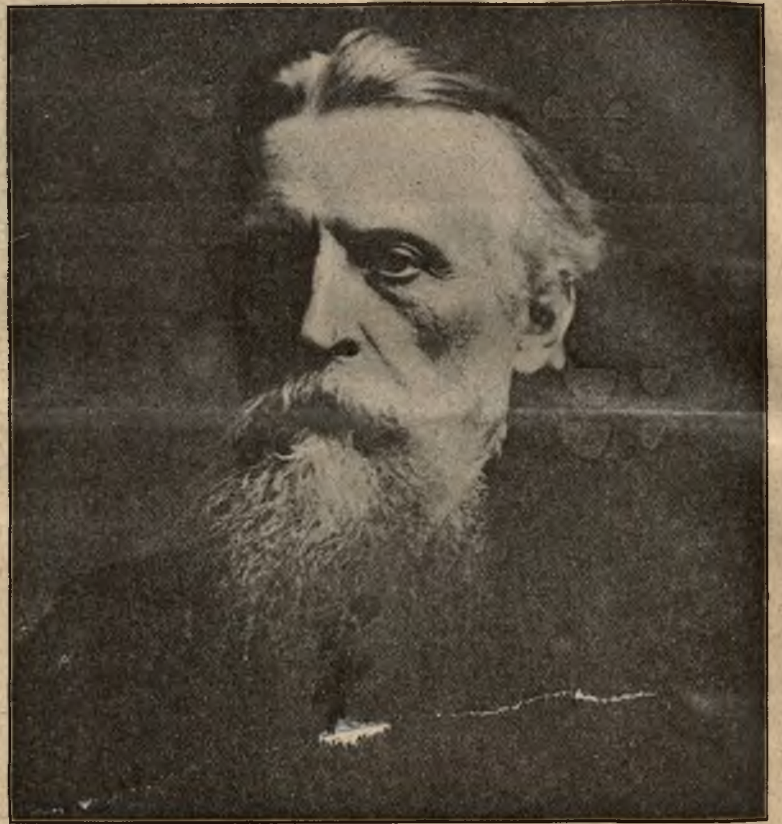
Afera szpiegowska we Lwowie.

Równocześnie z groźnymi objawami niepokojów i powikłań na Bałkanie, które mogą wywołać nieobliczalne skutki w stosunkach międzynarodowych, rozeszła się po Lwowie wiadomość o wykryciu szpiega, na rzecz jednego z państw ościennych. Że pogłoski te oparte były na realnych podstawach, dowodzi fakt, iż policya uwięziła podejrzanego o szpiegostwo młodzieńca, którym jest Jarosław Monczałowski, praktykant jednej z finansowych ruskich instytucyi we Lwowie. Monczałowski jest synem zmarłego w ubiegłym roku redaktora *Haliczanina*, jednego z najwybitniejszych filarów partyi staroruskiej w Galicyi. Od dłuższego już czasu zwracała policya baczną uwagę na młodzieńca, którego wydatki nie stały w żadnym stosunku, do pobieranej skromnej płacy w wysokości coś około stu koron miesięcznie. Monczałowski brał dość żywy udział w życiu politycznem, choć niedawno dopiero opuścił szkołę, a przed kilku laty wszedł już w konflikt z władzami, gdyż należał do uczestników napadu na lokal czytelni ruskiej, w której bawił właśnie arcybiskup Szeptycki. W ostatnich czasach wpłynęło do policyi lwowskiej anonimowe doniesienie, wskazujące na Monczałowskiego, jako szpiega. Na podstawie tego doniesienia przeprowadzno dokładną rewizyę w jego mieszkaniu, przy ulicy Dąbrowskiego we Lwowie l. 4., przyczem skonfiskowano wielką ilość kompromitujących papierów oraz mapę Galicyi z planami twierdz i objaśnieniami co do rozmieszczenia garnizonów.



Afera szpiegowska we Lwowie: Uwięziony pod zarzutem szpiegostwa Jarosław Józefowicz Monczałowski z ojcem swym ś. p. Józefem.

Monczałowskiego aresztowano pod zarzutem szpiegostwa, a następnie przewieziono do aresztów sądu karnego. Mapę, znalezioną w jego mieszkaniu badali oficerowie sztabu generalnego co do jej wartości strategicznej i orzekli, że była zupełnie dokładnie opracowaną. W tej sprawie ciągnie się dalsze śledztwo.



Jubileusz zasłużonego literata: Aleksander Świętochowski.

Z lwowskiego bruku.

(Trzęsienie ziemi i jego skutki. — Wiec antialkoholiczny. — Jeszcze o wystawie kucharskiej. — Z Sejmu. — Biliński i Korytowski. — Czemu Korytowski nie przyjechał do Lwowa? — Wojna a Lwów. — Wasiński idzie na wojnę. — Nowa metoda uproszczonej wojny. — Z teatru.)

Lwów tonie w mgle i udaje Londyn. W zeszłym tygodniu było trzęsienie ziemi, które w dziennikach wywołało trzęsienie wody, ale poza tem przeszło bez wrażenia. Ani jedna kamienica nie przewróciła się, co jest najlepszem świadectwem nie dobroci naszych kamienic, ale małej siły trzęsienia. Cały efekt trzęsienia ziemi to mały huczek w dziennikach, ruch na obserwatoryum i kilka banalnych konceptów przygodnych fejletonistów, którzy nareszcie mieli sposobność pisać nie o pogodzie.

Więcej wrzawy wywołał niedzielny wiec antyalkoholiczny, któremu można wróżyć akuratnie tyle powodzenia, ile wiecom kobiet o prawo wyborcze damskie. Chodzi o rzecz bardzo ważną i piękną, bo o zamykanie szynków na całą niedzielę, już od soboty godziny 6 tej wieczór do poniedziałku godziny 6 tej rano, ale trzeba znać Galicyę, aby podobne żądanie „między bajki włożyć“. Prędzej zgodzimy się, aby wszystkie szkoły na rok cały pozamykano z powodu jakiejś szkarlatyny, albo innej cholery, niż mielibyśmy pozwolić, by nam odebrano cały urok niedzielny przez zamknięcie wszystkich knajp. Szynkarze pękają ze śmiechu. Oni na tych wiecach robią najlepszy interes. Ludzie z obawy, że to może ostatnia niedziela piękna i wolna, nie wychodzą po prostu ze szynku. A potem niema klucza przed złodziejem. Każdy szynk ma trzy wchody z przodu, a trzy z tyłu. Gdyby nawet zamknąć te przednie wchody, to przez tylne odbywać się będzie wędrówka narodów, bo naród nie pozwoli, by mu zepsuto urok niedzielnego święta.

Dlatego zdaje mi się, że to wiecowanie jest zupełnie bezużyteczne. Jak długo wódka istnieje, tak długo dobijać się do niej będziemy przez otwarte, czy przez zamknięte drzwi.

Obecna wystawa kucharsko-spożywcza jest pięknym obrazem naszego trybu życia — oczywiście z punktu widzenia naszego żołądka. Otóż: kawałek mięsa — wódka, likier, piwo; kanapka, wódka, piwo, likier — ryba, wódka piwo, likier—cukiernia: wino, piwo, likier wódka — precle: wódka, piwo, likier i tak wszędzie. Na jeden kęs jedzenia przypada kilkanaście flaszek alkoholu, który na wystawie jest najsilniej reprezentowany, ale bynajmniej nie wyczerpująco. Gdyby wszystkie browary, gorzelnie i fabryki win i likierów chciały były obesłać wystawę, nie wystarczyłby skromny pawilon sztuki ani nawet sto takich pawilonów. To też mamy tam tylko małą próbkę, a i ta wystarcza, aby ocenić, co nas trzyma.

Przyrzekłem napisać bliżej o tej wystawie, ale naprawdę pisać o niej nie mogę, bo na samo wspomnienie idzie mi ślina do ust. Ten stół Zehnguta to zbiór arcydzieł, które godne są dostać się do Panteonu, a nie do żołądka i t. d. Aż żal bierze pomyśleć, że te — jak je słusznie nazywają— poematy żołądkowe mają się dostać do czeluści piekła żołądkowego, że nie są wiecznotrwałe, jak np. Iliada Homera lub inny poemat, może nawet nie tak piękny, jak ta ryba w majonezie *a la* — już nie pamiętam, którego męża stanu uczczoną, nazwaniem ryby jego nazwiskiem. Ludzie patrzą z taką pożądliwością na te apetytne artykuły wystawowe, że upodobniają się do głodnych tygrysów. Czekoladki Höflingera były tak ponętne, że je doszczętnie rozkradziono i wyżarto. Panny mdlały z pokusy, a wracały do domu z obmazaną na czarno buzią.

W Sejmie po nieznacznych występach ks. Stojałowskiego i innych posłów na razie dość cicho, o ile który poseł nie przerywa ciszy głośnem chrapaniem po nieprzespanej nocy. Bo i posłowie czasem nie sypiają w nocy, zwłaszcza kiedy myślą nad zbawieniem narodu w kupce dobranej w któtrejś z kawiarń nocnych.

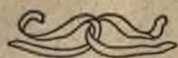
Sensacyę budził przez czas jakiś gubernator Biliński, człowiek z doskonałym podpisem widocznym na banknotach austryackich, owych najmilszych „widokówkach“. Natomiast nie widać ekscelencyi Korytowskiego, ministra austryackich deficytów finansowych, człowieka genialnego o przymiotach cudotwórcy, w rodzaju Mojżesza, bo u niego także tryska niewyczerpane źródło z pod kija nawet żebraczego. Miał jako protektor wystawy kucharskiej — ze względu na jego dobry apetyt i ładny wygląd — zrobiono go protektorem — miał więc przyjechać na otwarcie wystawy, ale nie przyjechał, z czego nawiasem mówiąc komitet zapewne się ucieszył, bo przecież mógł całą wystawę opodatkować, albo w inny sposób jej zaszkodzić. Na tem więc polegał protektorat, że nie przyjechał i udaje, że nie widzi przedmiotu zdolnego do opodatkowania. To także cośkolwiek warte.

Poza tem mówimy o wojnie. Wszystko mówi teraz o wojnie. Od podlotka i studenta marzącego o szabelce, aż do staruszka zgrzybiałego — każdy myśli, czyta i myśli o przyszłej wojnie. Są nawet tacy, którzy już dziś przepowiadają cały przebieg wojny i jej zakończenie. Ci po kawiarniach z ołówkiem w ręku rozdzielają państwa, zwyciężają, wyrzynają, mordują, zawierają pokój i podpisują traktaty międzynarodowe. Teraz tylko czekać, aż waśniące się państwa pójdą za ich wskazówką. Także wybiera się na wojnę wielu ochotników, a między nimi i Wasiński, który onegdaj w tym celu chciał drapnąć z więzienia. Ledwie zdołano go wstrzymać i wytłomaczyć mu, że jeszcze niema wojny i niema powodu do pośpiechu. Prosił więc, żeby mu dać znać, kiedy się zacznie heca, bo on tam więcej jest potrzebny, niż w Brigidkach. Prawda, że on utworzyłby osobny korpus złodziejski, który oporządziłby nieprzyjaciela za jedną noc tak dokładnie, że nazajutrz nie mieliby co jeść, ani z czego strzelać, ani w co się ubrać, bo wszystko byłoby rozkradzione bez jednego wystrzału.

Ta nowa metoda prowadzenia wojny na cicho, godna jest zastanowienia i powinna być wzięta pod rozwagę w sferach miarodajnych.

Zresztą nie mamy nic ciekawego. Jakaś francuska „zwyciężająca miłość“ pojawiła się w tym tygodniu w teatrze i wśród frenetycznych oklasków zorganizowanej klaki upadła, aby się już nigdy nie dźwignąć. Miłość niema dziś powodzenia nawet w teatrze. I dziwić się, że ludzie przestają w nią wierzyć.

(***)



40-letni jubileusz pracy w zawodzie cukierniczym.

Różne trudności przedstawiał i przedtem każdy zawód, dziś borykać się musi nasz kupiec i prze-



40-letni jubileusz pracy: Właściciel cukierni w Nowym Sączu J. Dzięciołowski.

mysłowiec z tem większemi przeszkodami, że każdy zawód wyspecyalizował się w swych nawet najdrobniejszych szczegółach, a konkurencya wyprowadza z pola walki zwycięsko przeważnie tylko dzielne, energiczne i uzdolnione jednostki. Gust naszej publiczności stał się dziś ogromnie czułym, której dogodzić we wszystkiem jest nieraz bardzo trudno. Trzeba więc być nietylko doskonałym artystą-fachowcem, ale i umieć pogodzić istniejące warunki fachu z wymaganiami odbiorców.

W tych stosunkach obchodzić 25-letni jubileusz samoistnego zawodu i patrzeć na coraz większy rozwój swego przedsiębiorstwa, to uroczystość dla danej jednostki pełna znaczenia, zwłaszcza w miastach prowincyonalnych, które odczuwają najbardziej tę ogólną biedę, w jakiej kraj nasz pozostaje.

P. Józef Dzięciołowski, cukiernik w Nowym Sączu, obchodzi właśnie w tym miesiącu 25-letni jubileusz prowadzenia samoistnego pierwszorzędnej cukierni w tem mieście, a 40 lat pracy wogóle w zawodzie cukierniczym.

Krakowianin rodem, wstąpił na naukę w roku 1868 do cukierni Hegenbergera. Po odbyciu wymaganej praktyki, pracował dalej w pierwszorzędnych cukierniach w Krakowie i Lwowie, a także zagranicą. Dał się przytem poznać jako niezwykle uzdolniony artysta cukiernik i zdobył sobie najchlubniejsze świadectwa.

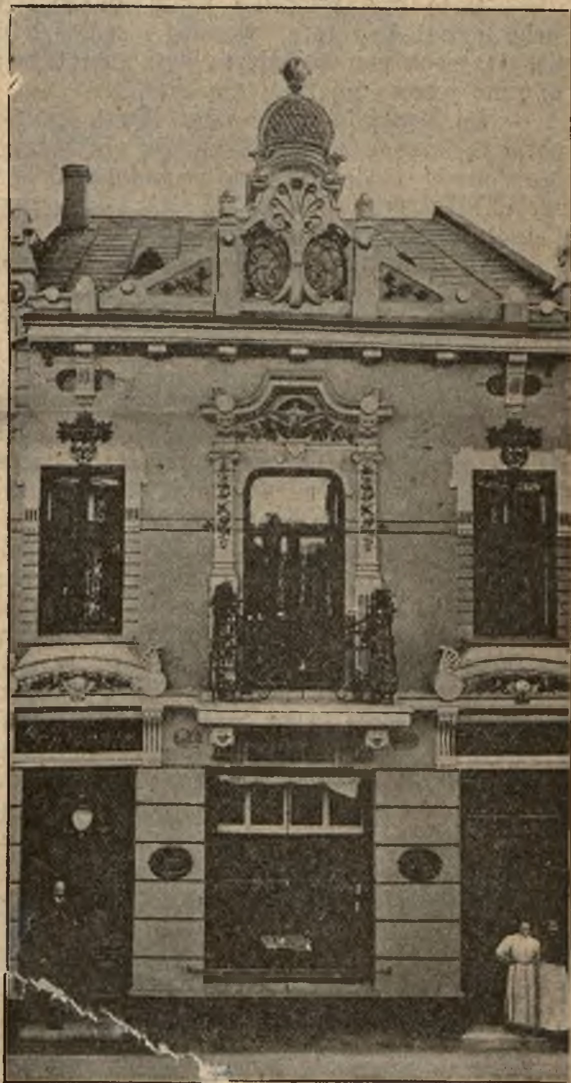
Pracowity i oszczędny złożył kilkaset złotych i z tą małą kwotą przybył przed 25 laty do Nowego Sącza, gdzie otworzył cukiernię, która odrazu zyskała sobie licznych klientów i szczere uznanie. Dorabiając się powoli, stał się przed laty kilku właścicielem pięknego, jednopiętrowego domu przy ul. Jagiellońskiej, gdzie w parterowych ubikacyach umieścił swą cukiernię, urządzoną z wielkim komfortem, tak, że może śmiało konkurować z pierwszorzędnemi cukierniami miast stołecznych. Za prawdziwie artystyczne i smaczne swe wyroby zdobył jubilat na wystawach krajowych i zagranicznych kilka złotych medali i listów pochwalnych.



40-letni jubileusz pracy: Sala bilardowa.

P. J. Dzięciołowskiemu jako cukiernikowi-jubilatowi życzyć należy, by mu dalej się tak powodziło, jak dotychczas. Świetny rozwój jego przedsiębiorstwa niech będzie dowodem, że polski przemysłowiec nie stoi w tyle za obcymi i że potrafi swe interesy prowadzić równie dobrze, jak zagraniczny.

W niniejszym numerze podajemy 3 zdjęcia fotograficzne z cukierni nowosądeckiej p. J. Dzięciołowskiego, który wytrwałą swą pracą dał piękny przykład naszym przemysłowcom i rękodzielnikom, że sumienna praca i zamiłowanie w swym zawodzie może i u nas znaleźć uznanie i stać się źródłem nietylko materyalnego dobrobytu jednostki, ale i poparcia społeczeństwa. Jednostki takie, po obywatelsku myślące, powinny w gronie swych współpracowników znaleźć gorliwych naśladowców, dlatego też praktyka zawodowa, odbyta pod okiem takiego pryncypała będzie dobrą szkołą, z której wyjść może kiedyś cały zastęp dzielnych pracowników, pojmujących i spełniających sumiennie swe obowiązki na pożytek własny i społeczeństwa. A u nas tak dziś mało sumiennych ludzi. Z po-



40-letni jubileusz pracy: Widok zewnętrzny cukierni.

stępem, jaki do nas przyszedł z zagranicy, nauczyliśmy się wszystko lekko zbywać; byle forma zewnętrzna była piękna, nikt nie baczy, czy też ma ona gruntowne a rzetelne podstawy. P. Dzięciołowski trzymał się innych zasad, dlatego też ma to wewnętrzne zadowolenie, że sprostał swemu zadaniu.

Od Redakcyi.

P. T. Czytelników nadsyłających rozwiązania zagadek upraszamy, aby takowe nadsyłali tylko do centralnej Redakcyi, Kraków, Zacisze 7.

Kącik humorystyczny.

Między lekarzami.

— Jak tam koledze idzie praktyka w tej Kociej Wólce?...

— Dziękuję, doskonale! Właśnie rada gminna uchwaliła rozszerzyć miejscowy cmentarz, bo już miejsca brakuje... a stolarze zamianowali mnie członkiem honorowym swego cechu.

Ostrożny.

Do hotelu X. zajeżdża jeden z rajzenderów berlińskich i zapisuje się do księgi przejezdnych. W tej chwili przez odnośną rubrykę przełazi pluskwa. Rajzender berliński ciska pióro o ziemię i odchodzi.

Portyer pędzi za nim i pyta:

— Czemu pan dobrodziej ucieka?

— Bo ja w takim hotelu nie mogę mieszkać.

— Ależ zapewniam pana, że u nas największy porządek.

— Ale co mi to za porządki w takim hotelu, gdzie pluskwy już naprzód dowiadują się, w którym pokoju mam mieszkać!



40-letni jubileusz pracy: Wnętrze cukierni.

U wrót śmierci

Powieść wysnuta z aktów paryskiego archiwum karnego,

przez M. Level'a

15 Ciąg dalszy.

— A to co? wszystko poprzewracane! Pan Coche musiał być tutaj wczoraj i zmieniał bieliznę. O, niech pan patrzy, to jego koszula, wczoraj rano jeszcze jej tutaj nie było.

— Do dyabła! — pomyślał Javel, jeżeli on zabrał tę koszulę z krwią i spinką, nie będzie już tego dowodu i śledztwo nie wypadnie tak świetnie, choć posługaczka będzie składała zeznania. Wszedł do sypialnego pokoju, pytając:

— Co pani mówi? to wczoraj zmieniał bieliznę?

— Pewna jestem tego, co mówię. Wczoraj nie widziałam tutaj tej koszuli, była tylko tamta powalana krwią; wyjęłam z niej spinkę, którą może pan zobaczyć na kominku...

W ręce więc agenta dostała się najdrogocenniejsza rzecz, o zdobyciu której ani nie marzył. Obracał tę spinkę na wszystkie strony, przyglądał się jej, a z chwilą każdą nabierała ona dla niego coraz większej wartości; była najzupełniej podobną do znalezionej w pokoju na bulwarze Lannes.

Tak więc w przeciągu niecałej doby, opierając się tylko na drobnych kawałkach papieru, doszedł do wyjaśnienia całej sprawy, która wydawała się nie do rozwiązania. Gdy miał tylko te kawałki koperty, nie śmiał wyrazić swego podejrzenia, obecnie jednak rozwiały się wszelkie wątpliwości. Wszystko występowało z niezwykłą jasnością; ta plama krwi, mankiet rozerwany, zgubiona spinka! Czyż w pokoju, w którym spełniono morderstwo, nie znać śladów walki, nie widać, że starzec zacięcie bronił swego życia?...

Jedna tylko rzecz pozostawała niejasna, niezrozumiała: zachowanie się Coche'a od odkrycia zbrodni; jego zimna krew, chęć ujrzenia razem z komisarzem zwłok ofiary.

Jakim sposobem wytłomaczyć, by człowiek tak spokojny, szczęśliwy i poważny, jak on, mógł stać się nagle złodziejem, zbrodniarzem...

Te rozważania jednak nie do niego należały! Wnioskując z małej tylko wskazówki, której inni nie chcieli przyznać najmniejszej nawet wartości, rozpoczął poszukiwania, zakończone w tak krótkim czasie nadspodziewanymi wynikami, więcej niczego nie pragnął..

W przeciągu godziny sprawa cała będzie ukończoną, a Coche aresztowany, uwięziony... o ile tylko kolega nie stracił go z oczu. Na samą myśl tę złość go opanowywała.

Obecnie, gdy wiedział już wszystko, czego pragnął, nie miał potrzeby słuchać dalej opowiadań posługaczki; spoglądając też na zegarek, odezwał się:

— Nie mogę już dłużej czekać, nie mam teraz czasu, potem jednak przyjdę jeszcze.

Wymawiając ostatnie słowa, uśmiechnął się mimowoli, odczuł bowiem całą ich dwuznaczność. W bramie spotkał się ze stróżką, lecz nie zatrzymując się, wyszedł na ulicę. W pobliżu stał ktoś, jakby na niego oczekiwał; gdy tylko spostrzegł Javela, podszedł w tej chwili do niego i szepnął po cichu:

— Javel?...

— Tak, ja — i dodał:

— Gdzie jest?

— W hotelu na rogu ulicy Orleańskiej i bulwaru Brune.

— Bardzo dobrze. Niech pan czemprędzej jedzie tam i zatrzyma go jeszcze godzinę. W razie potrzeby użyć nawet siły. Wszystko biorę na siebie, proszę nie bać się, sprawa idzie bardzo dobrze.

Gdy posłaniec odjechał, Javel wsiadł do dorożki i podążył tryumfujący do komisarza, zacierając z radości ręce. Nie myślał o żadnej nagrodzie, awansie lub gratyfikacyi, cieszył się tylko z samego powodzenia, jakie odniósł, z tak szybko i zręcznie poprowadzonego śledztwa.

Gdy przybył, na schodach spotkał kolegę, który go uprzedził:

— Idź prędzej. Szef na ciebie czeka, zdaje mi się, że coś oberwiesz.

Javel wzruszył lekceważąco ramionami i odpowiedział powoli:

— Nic nie szkodzi... jakoś się zaradzi...

Przygotowany był na naganę za opuszczenie służby bez pozwolenia. Wypadki jednak tak się układały, tak szybko następowały po sobie, że nie miał ani czasu, ani chęci zwracania uwagi na takie drobnostki. Pragnął nawet złego przyjęcia, w ten sposób bowiem wywoła większy efekt wiadomością, jaką przynosi. To też, gdy znalazł się przed komisarzem, ani słowem nie starał się uniewinniać, znosząc wszelkie wymówki.

Komisarz zaś był bardzo zirytowany, wydelegowano już bowiem sędziego śledczego do dalszego prowadzenia sprawy, a on nie może mu udzielić żadnych szczegółów, rozjaśnić tajemnicy, która okrywa to zabójstwo. Skorzystał więc ze sposobności, by wylać na ajenta swój gniew. (Cdn.)

NADESŁANE.

(Za rubrykę niniejszą Redakcya nie przyjmuje odpowiedzialności).

Głosy publiczne.

Wspomnienia z młodych lat. Gorączkowe i niespokojne życie człowieka pozostawia mało czasu, by wspominać piękne dni dzieciństwa, to też tem milej i tęskniej usposabia każdego człowieka wspomnienie w chwili wytchnienia i spoczynku świątecznego tych złotych dni młodości. W szczególności święto Bożego Narodzenia ze swoim uroczystym, a zarazem radosnym nastrojem budzi żywo te wspomnienia, które aby dłużej utrzymać, nadają się najlepiej do tego »Anielskie dzwonki na drzewko«, znana nowość, której wprowadzenie w użycie jest wyłączną zasługą c. i k. nadwornej firmy Hanns Konrad w Brüx N. 2027 Czechy. Odsyłamy naszych P. T. Czytelników do dzisiejszego inseratu w naszem piśmie, z którego można się dowiedzieć wszelkich szczegółów tej zachwycającej nowości Bogato illustrowane cenniki wysyła powyższa firma nadworna na żądanie każdemu darmo i opłatnie.

Z półek księgarskich.

»Garderobę dziecięcą«, z dodatkami »Praktyczna gospodyni«, »Dla dzieci« i »Dodatek literacki dla dzieci«, zamawiać można u R. Landaua, Lwów. Czarnieckiego 3, po 1·20 kor. kwartalnie już z przesyłką pocztową.



Zagadki do nagrody.

Szarada.

Ułożyła K. Okoniowa.

Ma pierwsza zwykle milczeć nakazuje,
Druga i trzecia w każdej gminie się znajduje,
Całość rozrywka, nikomu nie szkodzi
Bo się nią zabawiają i starzy i młodzi.

Gwiazda magiczna.

Ułożył W. O. z Warszawy.

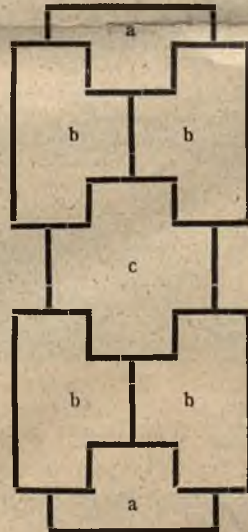
Podane w kwadratach litery ułożyć w ten sposób, aby utworzyły cztery wyrazy o podanem niżej znaczeniu.

1. Dowódca oddziału. 2. Jezioro we Finlandyi. 3. Naród koczujący. 4. Roślina.



Mozajka.

Z podanych siedmiu kawałków ułożyć kwadrat.



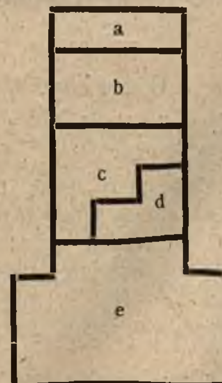
Szarada.

Ułożył Artur Bocsoń z Bóbrki.

Pierwszą odszukasz w dziedzinie ptaków,
Drugiej chciej szukać znów u rybaków —
Wszystko słynnego nazwa malarza,
Który wojenne sceny wspaniale odtwarza.

Mozajka.

Z pięciu kawałków, tworzących podaną niżej figurę, ułożyć kwadrat.



Szarada.

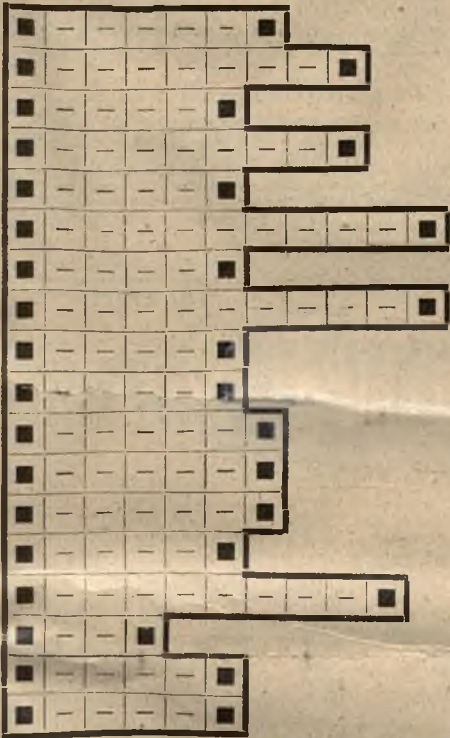
Ułożył Artur Bocsoń z Bóbrki.

Piersze w abecadle, a drugie i trzecie
Odpływ wielkiego jeziora na wschodzie —
Niebezpieczny przez liczne powodzie —
Całość, urocze miasto gdzieś w świecie!

Logogryf.

Ułożył Zygmunt Gaudnik Stary Sącz.

Zamiast kwadratów i kresek wstawić litery w ten sposób, aby początkowe, czytane z góry na dół, dały imię i nazwisko zmarłej poetki i pisarki polskiej, końcowe zaś, czytane z góry na dół, dwa jej utwory.



Znaczenie wyrazów: 1. Miasto w Galicyi. 2. Zjawisko astronomiczczne. 3. Sławny naturalista. 4. Miasto w Irlandyi. 5. Grecka epopeja. 6. Dwa imiona męskie. 7. Termin techniczny, używany w muzyce. 8. Imię i nazwisko współczesnego poety. 9. Ojciec Tytanów. 10. Inaczej kołczan. 11. Znana postać z powieści Sienkiewicza. 12. Rodzaj świątyni. 13. Nazwisko choroby. 14. Tytuł turecki. 15. Była sekta w Arabii. 16. Zdrobniałe imię męskie. 17. Herb polski. 18. Imię męskie.

Zadanie konikowe.

Ułożyła Pojata z Warszawy.

ły	zło	bek	pół	nie	te	ka	za
rą	cze	pleś	cis	nim	noc	dą	świa
mróż	zesz	nu	zgu	chłod	reł	wcześ	mro
jesz	ki	nej	pe	szro	cię	teł	bro
nie	przy	bi	zą	ro	lub	zem	nie
mat	nie	sy	nie	z gór	kryj	wa	ka
cha	łe	za	się	bek	cze	kwiat	dmu
wcześ	pod	su	bia	ku	cha	u	jesz

Szarada.

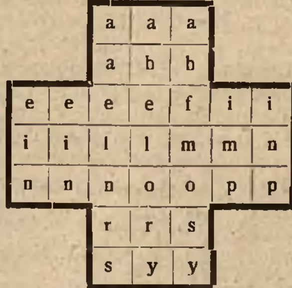
Ułożył Zygmunt Gaudnik.

Pierwsza, litera, wspak trzecia jest rzeka,
Wspak trzecia z drugą, raduje człowieka,
Lecz tylko w zimie na niej używamy,
Z niecierpliwością też na nią czekamy.
Całość, to owoc z szlachetności znany.
U nas w cieplarniach tylko hodowany.

Krzyż magiczny.

Ułożył M. Rożański, Lipinki.

Podane litery tak poprzestawiać, aby dały trzy słowa równobrzmiące tak w pionowym, jak i poziomym kierunku.



		a	a	a		
		a	b	b		
e	e	e	e	f	i	i
i	i	l	l	m	m	n
n	n	n	o	o	p	p
		r	r	s		
		s	y	y		

Znaczenie wyrazów: 1. Miasto we Włoszech. 2. Miejscowość koło Krakowa lub Warszawy. 3. Imię męskie.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania Mościckiego Henryka: **Wilno i Warszawa w Dziadach Mickiewicza**, z 23 rycinami.

Rozwiązanie zagadek z Nru 40.

Szarada.
Batory.

Arytmogryf.
Józef Verdi, Ernani, Aida.

Krzyż magiczny.
Zuzanna, Skawina, Monitor.

Szarada.
Warkocz.

Dobre rozwiązanie nadesłali Pp: I. Wielgus Wadowice, A Nikosiewiczowa Krzywe, K. Maciejowski Czortków, O. Bogdańska Horodenka, S. Drettler Kołomyja, H. Ptaszyńska Lwów, J. Gomuliński Bóbrka, Wyszatycki Jarosław, Z. Garbusiński Przemyśl, A. Bocsoń Bóbrka, M. Małaczyński Pikułowice, S. Libelf Wolanka, Tow. S. L. Millie, K. Jurkiewicz Gwoździec, J. Konstantynowicz Prełuki. Inż Merson Rzepedź, Z. Zuberowa Borysław, G. Adam Lwów, W. Spirydowicz Stara Sól, A Rotter Stanisławów, K. Fuchs Czeremchów, S. Skodówna Stróża, ks. J. Dulian Padew, Tow. Sokół Dynów, Z. Gaudnik Stary Sącz, J. Badura Roździeń, Bobowski Jasionów, M. Arbesbauer Lwów, O. Górkowa Chyrów, Kl. Schnitzel Tarnów, L. Maruszczak Chodorów, M. Szydłowska Kozowa, L. Złochowski Zalezzczyki, J. Ziąber Stanisławów, Mokrzycka Romanówka, M. Opolska Czarny Dunajec, M. Świszczowska Swoszowice, Sz. Smal Buczacz, St. Łuszkiewicz Dębica, F. Pisarzewski Tartaków, A. Seiboth Kęty, Abonent z Długoszyna, W. Samborski Kraków, M. Kuzia Wadowice, A. Drąg Limanowa, F. Ratyński Janów, W. Chajec Moderówka, J. Bonierski Kraków, F. Przystał Mogiła, B. Ramułtowa, W. Kudłacik Tarnów, M. Serbeńska Budzanów, S. Jasińska Abbazya, W. Stanula Samocice, M. Rożański Lipinki, W. Laskowski Warszawa, M. Stachowicz Kraków, ks. W. Skopiński Padew, S. Eckhard Stanisławów, A. Grabowska Barwałd, E. Załulińska Olszanica, J. Wilczek Krzyżtoporzyce. W. Czeppe Tarnobrzeg, M. Lisowska Papiernia.

Nagrodę przez losowanie otrzymał Z. Garbusiński Przemyśl.